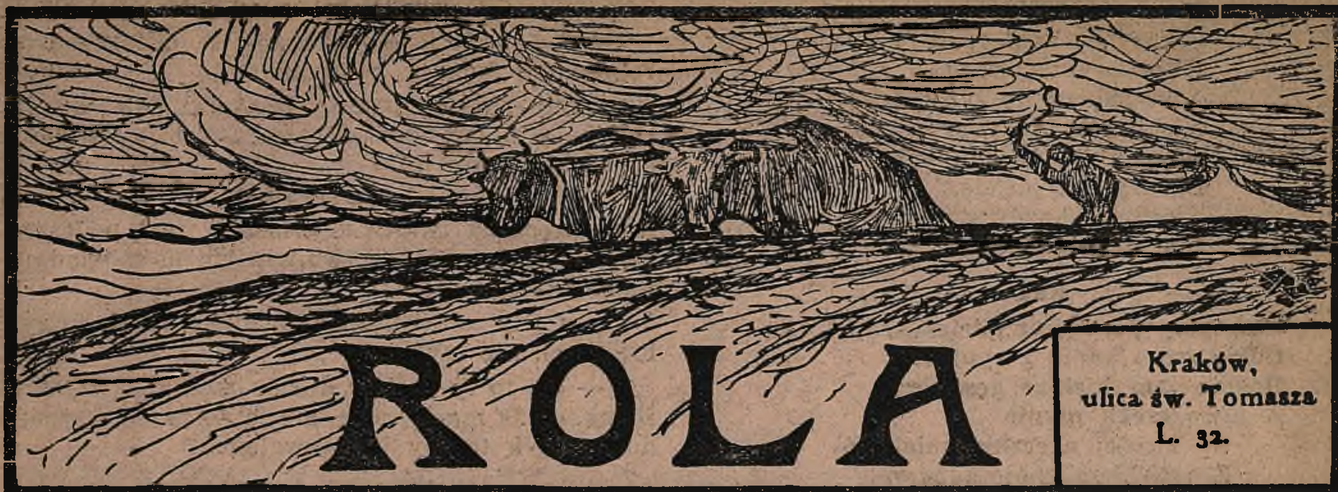
Numer 1. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 4 Stycznia 1931



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Życzenie.

Życząc co koniecznie
Każe zwyczaj stary,
Nikt jednak do życzeń
Nie przykłada wiary.
Więc Wam dzisiaj życzę,
Drodzy przyjaciele,
Niech się każdy wyśpi,
Jak sobie pościele.

Raj.

Czarowny pono jest gdzieś kraj,
Gdzie wino kapie z rynien,
Rośnie tam kiełbas gęsty gaj
A piwo rzeką płynie.
Na każdej wierzbie bułek rój
Z zefirkiem sobie tańczy,
A brzozy obsiadł — bracie mój —
Grad jędrnych pomarańczy.
Ciągniesz kartofla z ziemi nać,
Masz figi i daktyle,
Centnary możesz, człeku brać,
Nie funcik, marne kilo...
Na ostach wisi mnóstwo jaj
Na twardo i na miękko,
Masełko z pola, wielkich staj,
Możesz brać pełną ręką...
Wdzięczą się białe serki z lip,
A z olchy baleronik,
W mchu zaś, jak wielki, stary grzyb,
Szynka się świeża płoni...
Bochenki chleba, placków wbród
Na każdym dojrzysz płocie
A bursztynowy lepki miód
W dołkach się wszędzie złoci...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Widzę, jak się wam język już
Łakomstwem ślini, druhy!
Pytacie, gdzie ta ziemia róż —
Leciałby każdy duchem...
Gdybym naprawdę kraj ów znał
(Darujcie chytrość lisa)
Jabym tam dawno pierwszy zwiał
I... wierszy bym nie pisał!...

Władysław Łukasik.

Wziął się na sposób.

Jakaś para małżeńska została oskarżona przed rabinem o jadanie wieprzowiny.

Rabin nakazał pokutę. Rozkazał udać się im do cadyka w Górze Kalwarji pieszo, a do trzewików nasypać sobie grochu.

Zastosowali się do rozkazu, ale podczas drogi żona dręczona twardym grochem pod podeszwami ciągle jęczała z bólu i ze zdziwieniem spoglądała na raźno idącego męża.

— Co ty jesteś taki zadowolony Mojsie? Czy ciebie groch nie czyśnie?

— Uj, to ty jezdesz durna oszlica — mówi małżonek. — Ja mam groch, ale ja go przed wsypaniem do trzewyk trochy wigotowałem...



Mała Krysia zjada tylko miękki chleb, a skórkę odkłada.

— Będziesz ty jeszcze kiedyś Bogu dziękowała, gdy będziesz miała choć skórkę chleba do jedzenia — strofuje matka.

— Ja wiem, mamusiu, i dlatego właśnie ją odkładam.



Nawet nad grobem.

Pastor wygłasza przemówienie nad grobem: „Wiecie wszyscy dlaczego nagła Jego śmierć była szczególnie tragiczna: pozostawił młodziutką żonę, liczącą dopiero 24 lat...

Młoda wdówka wzniosła twarzyczkę łzami zalaną i łkając rzekła: „Dwadzieścia trzy".

Numer 1. Rok XIV. Kraków, dnia 4 Stycznia 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.



I znów poza nami rok pracy wytężającej, rok pracy mrówczej, ale pracy przyjemnej, bo wykonywanej z całem zamiłowaniem, a przynoszącej za sobą pożądane owoce, czego najlepszym dowodem setki listów na naszem biurku redakcyjnem, wyrażających nam pełne uznanie i zachęcających do dalszej wytrwałej pracy. Jakkolwiek każda praca wykonywana z zamiłowaniem, przynosi z sobą wewnętrzne zadowolenie, to przecież praca redakcyjna przynosi je stokroć większe, jeżeli jest odczuwana i uznawana przez ogół Czytelników. A praca to niełatwa. Podczas gdy jakikolwiek inny pracownik ma zadowolić jednego człowieka lub kilku ludzi, to redaktor gazetki ma ich zadowolić tysiące i dziesiątki tysięcy. A że to rzecz niełatwa, chyba każdy przyzna; tembardziej dla redaktora pisma niepolitycznego. Bo redaktorzy pism politycznych mają zadanie łatwiejsze. Oni tylko muszą się starać, aby swoich zwolenników wynosić pod niebiosa, a wszystkich innych obrzucać błotem. Działając tak, znajdują u swoich zwolenników poklask, a o innych nie dbają.

Natomiast gazetka niepolityczna, jeżeli już zawadzi od czasu do czasu o sprawy polityczne, to musi podnieść to, co dzieje się dobrego, a zganić to, coby mogło szkodę przynieść krajowi. A ponieważ gazetka niepolityczna ma wśród swych Czytelników ludzi najrozmaitszych przekonań politycznych, więc też nieraz może się zdarzyć, że tak kogoś lekko zadraśnie, nikogo jednak nie zrani boleśnie, trzymając się zasady, że burzyć łatwo a budować trudniej. I jeżeli kiedykolwiek zabiera głos w sprawach politycznych, to tylko w tym celu, aby nie burzyć, ale budować. Tak i my postępowaliśmy i postępować będziemy.

Taką gazetką właśnie jest nasza „Rola"; nad sprawami politycznemi przechodzi ona mimochodem, natomiast podaje swym Czytelnikom rzeczy, które, przynosząc im godziwą rozrywkę, w niejednem pouczą i rozświetlą ich umysł. Jest ona niejako encyklopedją najróżnorodniejszych wiadomości. Każdy z Czytelników znajdzie w niej coś dla siebie. A więc jeden historyczną powieść, drugi powieść sensacyjną, inny dziesiątki powiastek, legend, opowiadań, humoresek i innych utworów beletrystycznych, a jeszcze inny artykuł poważny, poruszający rozmaite problemy życiowe. Podróże po dalekich krajach, zaopatrywane w liczne obrazki, dają poznać naszym Przyjaciołom różne dziwy świata, a uzupełniają je Rzeczy ciekawe, zamieszczane w każdym numerze „Roli". Zwolenników lekkiego humoru i niezgryźliwej satyry bawi nasz Maciuś Bzdura, w sprawach gospodarczych pouczy niejednego Przewodnik gospodarczy. Obfita kronika opisuje najświeższe zdarzenia z całego świata, zaś dział zagadek jest dla wielu prawdziwą gimnastyką umysłu.

Oto, co daje „Rola" w ciągu roku. Ale „Rola" ma jeszcze cel inny: stara ona się wśród swoich Przyjaciół pobudzić ducha literackiego, stara się zachęcić ich, aby prócz ciężkiej pracy zawodowej w wolnych chwilach chwytali za pióra i starali się myśli swe przelać na papier. Nie ujadania na bliźnich, ale myśli twórcze, któreby nie szkodę, ale pożytek bliźnim przynosiły.



I to się nam udaje. Zamieszczamy niemal w każdym numerze jakiś utwór, pisany spracowaną ręką, może mniej dobry pod względem literackim, ale tem milszy, bo pisany przez prostaczków.

Corocznie ogłaszamy też konkurs na utwory o dowolnej treści, a uczestników tych konkursów liczymy coraz więcej. W ubiegłym roku na ogłoszony konkurs wpłynęło 96 utworów. Są wśród nich utwory słabe, bardzo słabiutkie, ale są i prawdziwe perełki, wyłowione z morza myśli ludzkiej. Co najlepsze z tych utworów zamieścimy w bieżącym roku na łamach „Roli".

Zamiary mamy pod każdym względem jak najlepsze, chęci do pracy nam nie brak, więc będziemy się starali z każdym numerem ulepszać „Rolę", czynić ją więcej zajmującą, prosimy tylko naszych Przyjaciół o jedno, a mianowicie, aby zechcieli nam przyjść z pomocą, zachęcając swych znajomych do zaprenumerowania „Roli". Na brak czytelników uskarżać się nie możemy: mamy ich bowiem dziesiątki, a może i setki tysięcy, ale pragnęlibyśmy mieć jaknajwięcej takich, którzy „Rolę" zaprenumerują, bo im więcej będziemy mieć prenumeratorów, tem więcej będziemy mogli ją ulepszać, a to leży nietylko w naszym, ale i w Waszym interesie, Kochani nasi Przyjaciele.

Niechże więc każdy na ten nowy rok stara się nam zjednać choć jednego nowego prenumeratora, a my odwdzięczymy się Wam ulepszeniem i udoskonaleniem tej tak przez Was umiłowanej gazetki!



Po kolędzie.

Cecora.

I.

Zaledwie słońce zapadło za mury Lwowa, gdy ktoś trzykrotnie uderzył kołatką w bramę domostwa Ibraima Mitrasa. Uderzenie to snadź dobrze było znane, bo ani z za okapu muru odźwierny się pokazał, ani stróżliwy pies warknął, jeno zaskomlił radośnie, a ciężkie wrzeciądze wnet zaskrzypiały i brama rozwarła się szeroko.

— A toć niespodzianka dla Mitrasów — ozwał się stary człek, stróż nieodstępny domu Ibraimowego.

— Co słychać, Jarucho? — spytał pan rotmistrz z uśmiechem.

— Jedno i to samo: jak koło furty, panna u krosien, a pan przy altembasach.

Młoda a piękna twarz rotmistrza, siedzącego na rosłym bachmacie, na wspomnienie altembasów lekko się skrzywiła. Zsiadł z konia i rzucając wodze towarzyszącemu mu pachołkowi, odezwał się krótko do Jaruchy.

— Zdrowi?

— Zdrowi, jak się widzi... A pan rotmistrz?

— Przecz patrz, że jak rydz wyglądam.

— Toć chwalić Pana Boga.

— A jużci, że chwalić — odpowiedział przyjezdny.

Poklepał starego po ramieniu, który do ręki młodego panka, ubranej w rękawiczkę łosiową, schylił się — i szybko postąpił ku drzwiom, prowadzącym do domu Ibraima Mitrasa. Pies duży, kudłaty, który widocznie także na powitanie czekał i podskakiwał co chwila, to dreptał niecierpliwie dokoła gościa, gdy ten z odźwiernym rozmawiał, znać zawiedziony w swoich nadziejach, skomlić zaczął, skubiąc z boku piaskowego koloru suknię podróżnego.

— A i ty, pieski synu, mnie witasz? — odezwał się pan Plichta, rotmistrz chorągwi pancernej, herbu Półkozic, który po ojcach i dziadach imię Konstantego na chrzcie świętym otrzymał.

Pieski syn rad był z powitania. Podniósł się, obie łapy na piersi rycerza położył i potężny pysk do pocałunku nadstawił.

— Puszczaj, puszczaj, stary szczekaczu, bo mnie spieszno! — rzekł, zdejmując z siebie psie łapy.

— A pójdziesz... ja ci tu zaraz...— zawołał Jarucha, szukając niby kamyka na drodze.

Plichta uśmierzył groźne zapędy sułtana, pogładził raz jeszcze psie kudły i wszedł do sieni wykładanej marmurem, a od mozaiki świecącej, wonnej i barwnej od przepychu kwiatów, które w ozdobnych donicach stojąc, dwuramiennym szeregiem wskazywały wejście na piętro.

Dom Ibraima Mitrasa, bogatego kupca ormiańskiego, znany był w mieście całem. Zewnętrzny jego wygląd nie odznaczał się niczem od innych domostw, natomiast wnętrze świeciło niezrównanym przepychem bogactw. Co tylko fantazja ludzka wymarzyć mogła, tu z tem się spotkała.

Do tego przybytku rozkoszy zaufani i przyjaciele wejść jeno mogli; dla interesentów i klientów wchód był z ulicy, gdzie sklep, składający się z kilku komnat, świecił najprzedniejszemi towarami Wschodu i Zachodu.

Pan Mitras, który stosunkowo niedawno do bogactwa przyszedł, zamieszkał w stolicy ruskiej. Niespełna lat dwadzieścia, jak przybył do Lwowa, z żoną cudownej piękności, która po kilku latach pożycia małżeńskiego, zostawiwszy mu córkę Admę, przepadła gdzieś bez wieści. Mitras, jak bóbr beczał po stracie onej, lecz od tej chwili w złote zaczął porastać pierze. Fortuna rosła, pomnażała się z dniem każdym i ludzie dziwili się i zazdrościli i szeptali na ucho, że Ibraim duszę djabłu zapisał. Po zniknięciu żony, Mitras cały córce się oddał, która matkę z piękności okradła.

Jak tam szło wychowanie ukochanej jedynaczki, Bóg raczył wiedzieć. Ojciec nie odmawiał jej niczego, lecz to, co miał, nie odpowiadało i w tysiącznej części marzeniem Ibraimowym. Z całym zapałem zajął się handlem, który wymagał czujności, pilności i obrotów pieniężnych, ale przebiegły i praktyczny umysł Mitrasa wszystkiemu zaradzić potrafił. Sklep rósł, jak ciasto drożdżowe, z dniem każdym przybywało klijentów, bo nigdzie takich altembasów i tkanin, aksamitów i adamaszków dostać nie można było. Łącząc cegłę pracy z cementem wytrwałości, po leciech kilkunastu, Mitras wystawił sobie dom duży i murowany, napełnił go wewnątrz przepychem wymarzonym i o miljonowem wianie dla ukochanej Adme jął przebąkiwać.

Prawda, że gruchnęła wieść, gdy razu pewnego z Carogrodu powrócił, o wymordowaniu przez Ibraima karawany jakiejś, której złoto zagrabił, ale Mitras nie przyznawał się do tego. Nie zaprzeczał, że dźgnął kindżałem jakiegoś poganina, ale to dawno temu, przez zemstę, gdy niechrzczeniec puścił się w nieprzystojne lansady do żony jego, bez jej woli i pozwolenia. Wtedy go dźgnął i basta! Łupem się zaś nie posilił, bo golec nic nie miał przy sobie.

Plichta wiedział o tem wszystkiem; na zarzezanie poganina zgodził się, ale łokcia, którym mierzył altembasy, przebaczyć nie mógł. Mimo to, ilekroć do Lwiego grodu zawitał, nie omieszkał zakołatać do dworu Ibraimowego... I teraz tak się stało.

Szedł pospiesznie przez schody, brzęcząc szablicą o marmur, ale nie doszedł jeszcze do drzwi bawialni, gdy z szelestem rozsunęła się adamaszkowa zasłona i wybiegła Adme.

— Kostek! — zawołała, wyciągając ku niemu na pół obnażone ręce, a piękna twarz o ściągłych rysach wschodnich i oczach palących, błysnęła purpurą rumieńców...

— Nie witaj mnie tak waćpanna serdecznie, — zawołał Plichta, przyciskając do ust długie, różowe, a opierścienione paluszki — bo Kostek wszystkie kosteczki waćpanny połamie z zadowolenia wielkiego.

— Łam!... — zaśpiewała Adme — jeno zrozum raz waszmość, jak przyjacielskiem sercem cię witam.

Rycerz wpatrzył się w oczy dziewczyny — dwa płomienie spotkały się z sobą.

— Miłujesz? — szepnęła.

Plichta żar uczuł pod sercem, miał już odpowiedzieć: „jak wściekły!“ ale w tem altembasy Mitrasa błysnęły mu przed oczyma i wściekłość zwiały.

— Siadaj waćpanna, a ja przy niej, bo czasu nam nie stać na próżne madrygały — rzekł, tłumiąc westchnienie.

Łuki brwi czarnych ściągnęły się nad płonącemi oczyma pięknej Ormianki, stała w miejscu, patrząc na Plichtę, choć on o krok już się oddalił.

— A zaraz mars, dąs — zaśmiał się rycerz, ujmując obie dłonie dziewczyny. Czy, gdyby nie miłym pobyt tu był, nawiedzałbym dom Mitrasa? Widzisz waćpanna, że co innego mnie tu ciągnie i dziś nawet sprzeniewierzyłem się powinności żołnierskiej, bo zamiast spieszyć do kwatery hetmańskiej, milkę drogi nadałem, ażeby powitać i wraz pożegnać moje u... podobanie.

— Upodobanie? tylko upodobanie?... — odezwała się Adme. — A ja myślałam, że waćpan inaczej swoje u... zakończysz — dodała, siadając na sofie o miękkich tureckich poduszkach.

— Ba! — westchnął Plichta, zajmując miejsce naprzeciw. — Z żołnierską służbą, to jak z miedzianką*) imasz się jej, a nie wiesz, czy za łeb, czy za ogon uchwycisz, skręci się zawsze i ugryzie.

— Przecz wojny niema?

— Turczyn się ku Dniestrowi już zbliża.

— I waść idziesz?

— A waćpanna myślisz, że kury będę na jajca sadzał?...

Niepokój odmalował się w czarnych oczach Adme; spojrzała strwożona na Kostka i pochylając się ku niemu, rzekła:

— Jak to dobrze, że waćpan ojca nie zastał, możemy dłużej być sami.

— A ojciec gdzie?...

— Przybyli kupcy z Carogrodu, poszedł od nich towary odbierać.

— Wolejby z tem kupiectwem skończył, a o szlachectwie pomyślał — wyrwało mu się z ust.

— Co mu po tem! — odparła Adme. — Czy ono mu bogactwaby dodało?

— Ale tobieby dało...

Urwał, a chciał powiedzieć: może mnie.

Cóż mi brakuje? — szepnęła Adme — mam wszystko. I gdyby waćpan był nieco inny.

— A jakimże mnie waćpanna mieć byś chciała?

— Pamiętasz waćpan, że latoś serdeczniej do mnie mówił...

— Gorąco było, a wapory wychodziły z ziemi i we łbie kręciły.

Adme powilgotniało w oczach.

— A to co? a to co? — szepnął Plichta.

— Łzy! — odpowiedziała, zaciskając z lekka wargi.

— I czegom ja tu przyjechał! — zawołał powstając rycerz. — Hetman w Żółkwi na swego rotmistrza czeka... Wolej było do niego spieszyć, niż łzy łatwe niewiastom z oczu wyciskać.

— Siadaj waćpan, siadaj! a wżdy się nie dziw smutkowi memu: przecie to pożegnanie...

Plichcie coś w sercu zamgliło, a że białogłowy zawsze na rotmistrza niewymowny urok wywierały, usiadł bliżej i nie broniącą się dłoń niewieścią w mięki uścisk wziął.

— Widzisz waćpanna — szeptał — że ja nie taki zły, jak może mnie przed waćpanną ludzie wymalowali, jeno rycerzowi nie zawsze o czemś lubem pomyśleć wolno. Da Bóg wojna się skończy, a nie będziesz waćpanna krzywa na mnie.

*) Miedzianka, gadzina, w której na razie trudno łba od ogona odróżnić.

— Waćpan z Turczynem nie wojował jeszcze?

— Tatarom to już patrzyłem w ślepie, alem tego drugiego poganina nie widział dotąd.

— Znasz waćpan ich język?

— Ba, skąd?...

Adme zamyśliła się na chwilę. Jakieś myśli z błyskawiczną szybkością przebiegały przez jej czoło, a usta drgały. Pochylała się ku Plichcie, to lekko wstecz się cofała, zdawało się, że chciała dać się ująć, to coś ją odtrącało od niego, w oczach naprzemian łzy, to ognie gniewu świeciły, czegoś pragnęła, a bała się, a pierś falowała coraz szybciej, a nozdrza ślicznego wykroju wachlowały nerwowo.

— Dlaczego waćpanna o to mnie pytasz? — zapytał Plichta.

— Na wojnie różnie bywa, a broń Boże nieszczęścia, waćpanbyś porozumieć nie umiał.

— To cóż na to poradzić?

Adme wahała się chwilę.

— Poproś mnie waćpan.

— O co?

— O pomoc.

— Co? może waćpanna na wojaczkęby się ze mną wybrała?... Ciekawym, coby hetman powiedział, gdybym z takim grzecznym pacholikiem do niego przydybał?...

— Dziewosłębiłby nam — odparła Adme, rumieniąc się.

— Waćpanna jeno o tem myślisz, a to nie czas — doprawdy, nie czas jeszcze. Nie godziłoby się waćpannie wdową zostać odrazu.

— Waćpan umierać myślisz?

— Nie dziś przynajmniej, kiedy mi jest tak dobrze z tobą, Adme, a co jutro przyniesie, już jedynemu Bogu wiadomo.

— Dlaczegoż waćpan o wdowieństwie mojem mówisz, gdy jeszcze nie wiem, czy męża będę miała?

— Ty, Adme?...

— Ja — jako mnie widzisz — ja!...

— Bylebyś nie żałowała pocisków swych oczu, a trup pewien.

— Waćpan żyjesz jeszcze — rzuciła Adme.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Modlitwy Maciejowej.

Maciejowa Psztyk była kobietą pobożną nietylko z imienia ale i z duszy, która często pogrążała się w modlitewnej zadumie. Nawet przy najcięższej robocie znalazła Maciejowa chwilę czasu, aby przesłać w niebo pacierz, którego najczętszą treścią była jakaś prośba — Maciejowa bowiem uznawała zasadę, że modlić się, to znaczy prosić, bo chyba na co innego pacierza nie wymyślono.

Kiedy przy rannej modlitwie dosłyszała kwik wieprzka sąsiadki, zaraz w słowa pacierza wkręciła mały dodatek: — Daj Boże, żeby tej flondrze zdechł wieprzek przed Wielkanocą. Bo widzisz, Panie Boże, jak się kiełbasami opchają po Rezurekcji — będzie straszny grzech obżarstwa i to zaraz po spowiedzi... A moje świnki niech się ta zdrowo chowają — dodała po chwili, — bo to człek pobożny, to Pan Bóg kawałka szynki do kapusty nie pożałuje...

Wyglądając przez okno, kiedy dojrzała Maciejowa czubate kokoszki przyjaciółki, zaraz poczęła Pana Boga molestować: — Wczoraj jastrząb porwał mi koguta, daj Panie Boże, żeby dziś Walentowej obrobiła wrona z 5 kurczaków, bo kruk i jastrząb to też boże stworzenia, jeść potrzebujące...

Tematu do modlitwy nigdy Maciejowej nie zabrakło, bo to na tym Bożym świecie nie jest wszystko tak ułożone, jak być powinno...

Naprzykład jej Wojtuś, chłopak 5-letni mający nogi koślawe, żeby mu pomiędzy pałąkowatemi kulasami krowa, jak przez wrota przeszła — mógłby zafasować u Pana Boga inne prostsze łapska...

A jeżeli to się już w żaden sposób nie da zrobić — daj Boziu — modliła się żarliwie — aby Walentowej Hance nogi na ślizgawicy połamało, toby człowiekowi lżej było patrzeć na Wojtusiowe kabłąki.

Kiedy przy niedzieli zobaczyła Walentową w nowym kapeluszu, dalejże żegnać się i suplikować:

— Widziałeś, Panie Boże, żeby takie stare pudło na obrazę boską stroiło się w kapelusz, jak jaka hrabina?... Spuść Boziu deszcz, żeby jej toczek rozlazł się na łbie, bo przecież to hańba dla starej „żonatej“ baby stroić głowę w takie kolorowe szmatki.

— A mógłbyś też Panie Boże — westchnie po chwili — natchnąć mojego starego, żeby wstąpił ze mną do sklepu i kupił ten kapelusz czerwony w zielone kratki, bo i Tobie Boże przyjemniej patrzeć, jak człowiek przy święcie zrzuci ten stary kapelusz, dobry na strach na wróble, a nie na niedzielny przyodziewek!...

O ile bardzo pobożnie modliła się Maciejowa w domu, tem żarliwiej szeptała pacierze w kościele, bo to Pan Bóg bliżej i przy niedzieli można więcej uprosić... Modliła się tedy Maciejowa:

— Przyjdź Królestwo Twoje... a mógłbyś Panie Boże zatkać gardło chrypką tej Maryśce, bo wyciąga a śpiewa, jakby to nie był kościół, ale jaki kabaret...

— Bądź wola Twoja... i niechby figura świętego Antoniego spadła na łeb tej Weronce, co to zamiast patrzeć w ołtarz, przewraca ślipie do kawalerów...

— Chleba naszego... — szeptała dalej w skupieniu ducha... — nie daj Boże tej ladacznicy z Wólki, co mąką pysk se upudrowała i mizdrzy się do narzeczonego, który powinien ją dobrze po grzbiecie wytłuc, za to marnowanie bożych darów i obrazę Boską.

— I odpuść nam nasze winy, jak i my odpuszczamy naszym winowajcom — biła się w piersi — a racz Panie Boże zesłać na tę flondrę sąsiadkę jaką szkarlatynę lub dyfterję — niechby wiedziała, że jest sprawiedliwość Boża i że jej nie wolno takiej pobożnej, jak ja, kobiecie wymyślać od ślązków i babsztylów...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Maciejowa modliła się tak codziennie a im więcej starzała się, tem większe prośby zanosiła do tronu Boga, który, gdy tylko zobaczył, że Maciejowa wstaje i poczyna się żegnać, zaraz wołał na św. Piotra:

— Daj-no mi, Święty Piotrze kawałek waty...

— Czyś się skaleczył gdzie, Panie Boże? — pytał troskliwy sługa Stwórcy...

— Nie — uśmiechał się Wszechmogący. Ale muszę watą uszy zatkać, bo widzisz, — Maciejowa już się żegna i zaraz zacznie się „modlić“.

Wład. Łukasik.

NIEBEZPIECZNE SPOTKANIE.



Przed wiekami na ziemi polskiej żyło wiele drapieżców, z których najpospolitszym był niedźwiedź brunatny. Znano go dobrze w całej Polsce, a szczególniej pasiecznicy mieli z nim dość kłopotu. Jako smakosz wielki, podkradał on się do pni z pszczołami, otwierał prymitywne ule łapami i wybierał z nich słodki miód. Ukłucia pszczół niewiele mu przeszkadzały, gdyż po pierwsze przez jego bujne kudły żądła pszczółek przedostać się nie mogły, a powtóre nawet ewentualne ukłucie wielkiego bólu mu nie sprawiało. Z czasem wskutek wytrzebienia lasów liczba niedźwiedzi żyjących w Polsce bardzo zmalała, a dziś można je jeszcze spotkać w górach Wschodniej Małopolski, a nadzwyczaj rzadko w innych okolicach.

Niedźwiedzie należą do rzędu mięsożerców. Są budowy ogrubnej i niezgrabnej, pokryte kudłami; nogi mają pięciopalcowe, pysk ściągły, uzębienie mniej drapieżne, niż u innych mięsożerców, osobliwie ząb tnący jest słabo wykształcony, dlatego też wszystkie, z wyjątkiem niedźwiedzia białego, są przynajmniej za młodu roślinożerne. Niedźwiedź brunatny, jaki jeszcze żyje u nas, ma 1 do 2 metrów długości a dochodzi do 200 kilogramów wagi. Na dalekiej północy żyje niedźwiedź biały, który dorasta do 2 i pół metra długości, a dochodzi do 600 kilogramów wagi. Uwagi godnym jest pracz szop, tak wielki, jak lis, tylko grubszy, barwy żółtawo-brunatnej, o długim puszystym ogonie. Żyje w Ameryce. Nazwę ma od tego, że przed jedzeniem płucze pokarm. Futro z niego znane jest pod nazwą szopy.

Niedźwiedź brunatny w późnej jesieni układa się do snu zimowego. W tym celu wyszukuje sobie miejsce w jakiejś rozpadlinie skalnej lub pod korzeniami starych drzew, gdzie z małymi przerwami przesypia aż do pierwszej połowy marca. Zbudzony przypadkowo przez kogoś podnosi się z swego legowiska niechętnie, ale jest on wówczas bardzo niebezpieczny dla człowieka. Inna rzecz, że w czasie zimy łatwiej na niego polować, aniżeli w lecie, gdyż pozostawia na śniegu widoczne ślady swoich łap. Zaskoczony jednak i wypłoszony z swego legowiska rzuca się zajadle na człowieka i walczy z nim bez pardonu.

Takie spotkanie człowieka z przebudzonemi niedźwiedziami widzimy na naszym obrazku. Rzecz dzieje się w rosyjskich olbrzymich lasach. Oto chłopek tamtejszy pojechał sobie do lasu z synkiem, aby przywieźć nieco drzewa do domu na opał. Kiedy już na prymitywnych saniach ułożył kilka kloców drzew obalonych przez wiatr i ruszył ku domowi, z gęstwy leśnej wyłoniły się dwa olbrzymie niedźwiedzie brunatne. Przerażony chłopek polecił już ducha Bogu, ale nie stracił zupełnie odwagi. Błyskawicznie wskoczył sam na sanie, pociągając równocześnie za sobą i swojego synka. Grożące niebezpieczeństwo spo-

strzegł również jego wierny konik. Nie czekając na przynaglenie swego pana, pomknął lotem strzały po śnieżnej bieli leśnej drogi. Rozpoczęła się gonitwa; koń jednak był górą: rącze jego nogi rwały z kopyta, wskutek czego przestrzeń oddzielająca chłopka i konia od niedźwiedzia powiększała się z każdą sekundą. Nareszcie i las się skończył, ukazały się chaty wioski, wskutek czego niedźwiedzie musiały zaniechać pogoni i powrócić do swego legowiska, aby resztę zimy przespać snem błogim.



MACIEK BZDURA GADA:

Kochająca Redakcjo „Roli"! Człek tem pośnikiem i całemi świętami tak sie zmordował, ze ani rus jadacką myrdać nie moze. Bo i jakze? Bez całe święta nic inksego nie mozna było robić, ino abo sie modlić, abo jeść, a tak przy jednem, jak i przy drugiem trzeba cały dzień gębą ruchać i ruchać, toteż z tej okazyje nie będę dzisiok nic wam gadał, ale wysrajbujcie ten oto list, który tutaj nieprzymirzając zacąłem. Nie wiem, jak to pójdzie, bo i ręce zmachane tem ciągłem zanoseniem darów Bożych do pyska, a choć tam tego niewiele było, to przecie jak człek od świtu do nocy nic inksego nie robi, ino obsługuje to obmierzłe pyscysko, to sie przecie i ręce uselencą.

My na święta z gospodynią podzieliśwa sie w robocie. Wytłomacyłem im, ze Poniezus okropnie lubi modlenie sie starych bab, więc gospodynią wydelegowałem do modlitwy, a sobie wyznacyłem jedzenie. Nie wiem, cy tak z jednego, jak i z drugiego będzie jaki prefit, bo moje całe świątecne jedzenie juz drugiego dnia posło całkiem na marne, a pewnikiem ani nie chybi, ze i z gosposinego modlenia Pana Jezusa żołądek rozbolał.

Grzysny człowiek tego przecie nie zrozumi, ile Poniezus musi przejść męcarni, zanim wszyćkich babskich modleń sie wysłucha. Bo wiadomo, ze chłop tam długo prosił nie będzie. Pomodli sie tyle ile, a jak go Poniezus nie wysłucha, to machnie łapą i da spokój, a baba jak zacnie zendolić, to choć Poniezus mówi: Nie i nie, to ona dalej sklamrze i sklamrze, jaz Pana Jezusa złości zbierą i zrobi to, cego chce. A ze to bab okrutecnie duzo na świecie, więc mozna se wyobrazić, ile sie to Poniezus musi nasłuchać tego sklamrzenia. Zeby Panu Jezusowi ulzyć, to nasi posłowie postarali sie przed paru laty o zniesienie kilku świąt w roku, aby Poniezus miał więcej spokoju. I jesce kto powie, ze nasi posłowie są niereligijni!

Nie wiem, kto sie bardziej zmachał, cy ja jedzeniem, cy moja gosposia modleniem, ale to wiem, ze mnie jesce do dziśdnia grace bolą od podawania gębie darów Bożych i latego sam tego listu nie pisę, ale pise go Wikta od Grzeli, a i latego pise go ona, a nie ja, ze ja jesce wszyćkich liter pisać nie umię, a ona choć jakie takie kryślaki popostawia. Gdy będzie skończony, to ja sie na niem, jak jaki biskup, podpisę krzyzikiem świętem i będzie po całej kirchparadzie. Podpisany list zapakuję w kopertę, poślinię ją jęzorem i oddam na poctę i będzie po capstrzyku.

Naprzód juz wiem, ze wy z tego pisania nie będziecie mądrzy, bo kto ni ma rozumu, to go i z mojego pisania nie nabędzie, ale przecie za jakie styry dni go przecytacie, bo przecie na to was Poniezus stworzył, zebyście nad róznemi bałbraninami ślipia sobie psuli. Siedźcie więc i psujcie sobie, jak wam nakazuje Boskie przykazanie!

Coprawda, to ja tam nie mam o cem pisać, bo w nasej wsi bez całe święta zaden chłop baby nie nawalił, ani, broń Boże, ciele nikomu nie zdechło, ale pisę latego, aby pisać i aby i moje pisanie u Sanównej Redakcji było. Macie tyle rozmaitych babrotów, to jedno mniej, jedno więcej, nic nie zaskodzi. A mnie, jak sie kto spyta:

— Maciek! a kadyześ pisał?

— Do gazyciarzów! — odpowiem, a przez to człek posanowania i hunoru nabierze.

Latego właśnie, ze ni mam o cem pisać, to wam napisę o tem, na cem sie ani krztyny nie rozumię, to jest, jak wy i co w nasej gazytce w tym nowym roku macie durkować. Ze sie na tem nie rozumię, ze sam za gazytę nie płacę, to nic nie szkodzi, ale mam prawo wam poradzić, bo ją cytaną całą wysłucham, a cytają ją mój gospodarz i okrągluteńkie dwanaście złotych na rok płacą.

A ze to teraz Nowy Rok i kuzden za swoje pieniądze ma prawo żądać roboty, jak sie patrzy, to i ja, choć nie za swój pieniądz, ale za pieniądze ciezko przez gospodarza zapracowane mam prawo ządać tego, co mi sie rzywnie podoba.

Najważniejse moje ządanie jest takie, cobyście w nasej gazytce pisali takie śmisne rzecy, zeby po usłyseniu moja gospodyni odrazu ze śmichu pękli. Miałbym i ja spokój i gospodarz wiedzieliby, ze ich ciezko zapracowana krwawica nie posła na marne. Zreśtą co tu duzo gadać! Gospodarz płacą za gazetę ućciwie i to samem śrybłem, a wy co jem dajecie za to? Trochę papiru i to jesce zadurkowanego róznemi powieściami, bajkami, gadkami i inksemi głupstwami! Cyby to nie lepiej było, zeby kuzden plenumerator dostał jesce w dodatku parę śkapiąt, ze dwa korce pszenicy, a na dodatek jaki kawałek gruntu? Cyby to nie dobrze było, jakby na dodatek do gazyty kuzden kawalirz dostał jaką taką, chocby i trochę przechodzoną dziopę, a dzieucha, jakby na prezent noworocny otrzymała jakiego takiego śturkaca, z któregoby miała i w dzień i w nocy wygodę i pozytek? Pomyślcie i jezeli chcecie mieć milijony cytelników, to obiecajcie coś takiego kuzdemu, cego on najbardziej pragnie.

Powiadacie, ze obiecać nie śtuka, ale zrobić trudniej? Bajki! A cy to kto robi to wszyćko, co obiecuje? Gdziez tam! Tak nie było, nie jest i nie będzie.

Całuję was wszędzie, wszędzie, Was Maciek Bzdura.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Tonkin.

Na południe od Chin, na półwyspie zwanym Indjami Zagangesowemi, gdyż leży on poza rzeką Gangesem, nad brzegiem morza Chińskiego rozciąga się posiadłość francuska, tak zwane państwo Annamu. Dzieli się ono na Kochinchinę i na Tonkin. W dawnej przeszłości było to jedno państwo, później jednak rozpadło się na dwa oddzielne, aby z czasem połączyć się znów ze sobą.



Uwięzienie ks. Kien.

Sam Tonkin jest nie o wiele mniejszy od Francji. Rzeka Son-ka przerzyna kraj ten w kierunku od północy ku południowi i prawie równolegle z rzeką ciągnie się pasmo gór malajskich z licznemi ku morzu rozgałęzieniami.

Chrześcijańska nauka nie jest tam wcale nowością, chociaż mieszkańcy Tonkinu są bałwochwalcami. Zdaje się, że przed wielu wiekami kapłani katoliccy ją tam głosili, zostali jednak z czasem zmuszeni do opuszczenia niegościnnej ziemi. Ślady jednak ich nauki pozostały, a świadczy o tem istniejący od niepamiętnych czasów zwyczaj, że rodzice dzieciom na świat przychodzącym robili na czole znak krzyża węglem lub inną jaką czarną farbą, a to w tym celu, aby od dziecka odpędzić złego ducha.

Wieki jednak zatarły ślady pierwotnego chrześcijaństwa. Dopiero na początku XVII stulecia powrócili znów do Tonkinu misjonarze i do dziśdnia krzewią tam naukę Chrystusową. Obecnie nietylko księża z Europy głoszą słowa religji Chrystusowej, ale misjonarzom udało się wychować, wykształcić i wyświęcić na kapłanów wielu krajowców, którzy im teraz w zbożnej pracy wydatnie pomagają.

Krajowcowi jednak niełatwo było zostać kapłanem katolickim, zwracano tu bowiem więcej uwagi na jego świątobliwe życie, aniżeli na wykształcenie. To też wyświęcano dopiero na księży mężczyzn w sile wieku, albo nawet już w 60 i 70 lat życia. Poniżej lat 40 nie wyświęcano niemal nigdy. Na naszym pierwszym obrazku widzimy takiego księdza-krajowca w chwil, gdy go właśni rodacy krępują powrozami, aby go zamknąć w więzieniu za winy niepo-



Bandy rozbójnicze.

pełnione. Jest to ksiądz Szymon Kien, który w chwili uzyskania święceń kapłańskich liczył 60 lat życia.

Jakkolwiek misjonarze rozkrzewiają tam skutecznie wiarę chrześcijańską, tem skuteczniej, że rząd francuski użycza im pomocy, to przecież zbyt często nietylko oni, ale i krajowcy są wystawieni na prześladowanie swych rodaków. Oczywiście otwarcie nie mogą występować wrogo, gdyż na to nie pozwalają Francuzi, ale zato działają pocichu. Otóż niespodziewanie napadają na mieszkania misjonarzy, niszczą je i palą, a kapłanów niejednokrotnie mordują, poczem znikają bez śladu. Bardzo często na napady takie narażone są te rodziny z pośród krajowców, które przyjęły już chrzest święty. Napad taki widzimy na naszym drugim obrazku. Banda rabusiów otoczyła wieś chrześcijańską, pomordowała lub pokrępowała sznurami chrześcijan, zrabowała dobytek, a wieś całą podpaliła. A całą winą mieszkańców było tylko to, że przyjęli wiarę Chrystusową.

Jest to nic innego, tylko głupia zawiść na tle religijnem. A przecież na bogatej tej ziemi ludzie różnych przekonań religijnych mogliby żyć ze sobą w zgodzie, gdyby tylko mieli więcej cywilizacji. Tonkin bowiem, posiadający przeważnie równiny, obficie nawodnione przez rzekę Son-kę i jej dopływy, jest bardzo żyzną krainą. Jest to kraj bardzo bogaty, posiada wiele ryżu, który wywozi do Chin, jedwabiu i bardzo wielkie obszary leśne, które przy dobrej gospodarce mogłyby być prawdziwą kopalnią złota.

Do prześladowania chrześcijan przyczyniły się głównie kobiety. W Tonkinie panuje bowiem wielożeństwo, skoro więc kapłani katoliccy nawrócili któregoś z krajowców na wiarę katolicką, to w pierwszym rzędzie kazali się wyrzec swych żon, a pozostawić sobie tylko jedną. Był to straszny cios dla wielu kobiet. Rozżalone na głosicieli chrześcijańskiej nauki używają wszelkich sposobów, aby ich podać w nienawiść, jako szerzycieli „szkodliwej nauki", co się im zawsze udawało. Podburzały też więc tych, którzy nie mieli sposobności poznać zasad nauki Chrystusowej i powodowały krwawe napady na osiedla chrześcijańskie. Mimo to nauka katolicka coraz bardziej się tam rozszerza i znajduje coraz więcej zwolenników.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ I.

— Wyspa do sprzedania! Za gotówkę! Koszta osobno! Kupi ten, kto da więcej! — bezustannie, nie pozwalając sobie nawet na złapanie tchu, wywoływał licytator w lokalu, w którym odbywała się ta osobliwa sprzedaż.

Istotnie, w wielkiej hali licytacyjnej przy ulicy Sacramento tłok był niesłychany. Zgromadził się tam nietylko pokaźny zastęp Amerykanów z Kalifornji, Oregonu i Utah, lecz także wielu Francuzów, Meksykanów, Chińczyków, Kanaków z Oceanji, a nawet kilku czarnonogich i płaskogłowych, przybyłych z nad brzegów rzeki Trinidad.

Scena ta rozgrywała się w stolicy Kalifornji San Francisco.

Owego dnia, a było to 15 maja, panował jeszcze chłód dotkliwy.

W kraju tym, wystawionym na oddziaływanie prądów podbiegunowych, pierwsza połowa maja przypomina aurę drugiej połowy marca w Europie. W publicznej hali licytacyjnej nie odczuwano jednak niskiej temperatury. Nieustające dzwonienie ściągało tłumy publiczności, to też w lokalu panowała atmosfera tak upalna, że czoła obecnych okryły się kroplami potu, które na dworze byłyby odrazu zamarzły.

Nie należy jednak sądzić, że te liczne pożądliwe rzesze, zapełniające halę licytacyjną, przybyły tu w zamiarze kupowania. Wszyscy obecni kierowali się jedynie ciekawością. Bo i któż, będąc dość bogatym, byłby tak niemądrym, by kupować wyspę na Oceanie Spokojnym, wskutek dziwacznego pomysłu rządu wystawioną na sprzedaż? Mówiono sobie tedy, że nikt nie wniesie odpowiedniej oferty, bo wogóle nie znajdzie się amator na licytowany objekt. I prawdziwie, nie było w tem winy wywoływacza, który wołaniem, gestykulacją, posługiwaniem się najbardziej wabiącemi przenośniami jarmarcznej reklamy starał się podniecić klijentów.

Odpowiadano śmiechem, ale nikt nie przedkładał oferty.

— Wyspa do sprzedania — wołał Gingras.

— Ktoby się też pozwolił na to złapać! — zawołał jakiś Irlandczyk, w którego kieszeniach nie znalezionoby złamanego szeląga.

— Wyspa, która przy osiągnięciu ceny licytacyjnej, nie kosztowałaby ani po sześć dolarów za mórg! — wołał licytator.

— I któraby nie przynosiła 1/8 procentu! — dorzucił właściciel dużej farmy, doskonale się rozumiejący na rentowności gruntu.

— Wyspa, mająca pełnych 120 kilometrów obwodu i 90.000 hektarów powierzchni.

— A czy jest tam przynajmniej kawałek stałego lądu? — zagadnął pewien Meksykanin.

— Wyspa o młodem zalesieniu — sławił wywoływacz — z łąkami, wzgórzami, wodospadami...

— Zagwarantowane? — zaśmiał się jakiś Francuz, wcale nie kwapiący się, widać, do tego interesu.

— Tak, zagwarantowane! — odrzekł licytator, mający za sobą zbyt długie doświadczenie, by złośliwe docinki publiczności miały go wyprowadzić z równowagi.

— Na dwa lata?

— Do końca świata!

— A może jeszcze dłużej?

— Wyspa do sprzedania! Wyspa do sprzedawywoływacz. — Wyspa bez jednego drapieżnego zwierzęcia, bez płazów i gadów jadowitych .

— Czy też bez ptaków? — krzyknął jakiś żartowniś.

— I bez owadów? — dorzucił inny.

— Wyspa temu, kto da najwięcej! — wołał niezrażony wywoływacz. — Dalej-że obywatele! Trochę odwagi i sięgnąć do trzosa! Kto chce mieć wyspę w dobrym stanie, która dotychczas prawie że nie miała właściciela. Za jeden miljon i sto tysięcy dolarów! Mam wyspę!... Wyspę do sprzedania!... Kto chce kupić wyspę?

Była to wyspa Spencera, leżąca w południowo-zachodniej części zatoki San Francisco, w odległości mniej więcej 400 mil morskich od wybrzeża Kalifornji.

Trudno byłoby zaiste wymyśleć miejscowość bardziej samotną. Jakkolwiek wyspa Spencera nie była tak bardzo odległą i znajdowała się w obrębie wód amerykańskich, to jednak leżała poza wszelkim ruchem okrętowym i handlowym. A regularne prądy, przepływające poprzecznie na północ lub na południe, wytworzyły tu rodzaj jeziora o wodach stojących, nazywanego niekiedy „Tournant de Fleurieu".

„Wyspa do sprzedania", rozległ się jeszcze donioślejszy głos.

W pośrodku tego ogromu spokojnych wód, nie mających określonego kierunku, leży wyspa Spencera. Niewiele tylko okrętów tędy przejeżdża. Wielkie drogi Oceanu Spokojnego, łączące Świat Nowy ze Starym, czy to wiodące do Japonji, czy do Chin, biegną wszystkie w kierunku więcej południowym. Żaglowce byłyby tu narażone na długotrwałe cisze, a parowce, na małej tylko przestrzeni krążące po Pacyfiku, nie miałyby żadnej korzyści, odbywając po nim drogę dalszą. Wobec tego ani jedne, ani drugie, nie zaznajamiają się z wyspą Spencera, wznoszącą się tam niby samotny szczyt góry podwodnej, jakich nie brak na oceanie Spokojnym.

Dla człowieka, unikającego gwaru świata, pragnącego spokoju i samotności, czyż mogło istnieć coś lepszego od tej wyspy opuszczonej, o jakie 100 mil oddalonej od stałego lądu? Dla dobrowolnego Robinsona byłoby to miejsce pobytu wprost wymarzone. Tylko, że należało za nie uiścić żądaną kwotę.

Należało jednak przypuszczać, że nie znajdzie się kupiec dość niemądry, by złożyć 1.100.000 dolarów za taką wyspę. Pozatem było też wyraźne zastrzeżenie, że nabywca, o ile się taki znajdzie, nie może nosić tytułu króla wyspy, lecz tylko prezydenta republiki. Nie będzie mu przysługiwało prawo posiadania poddanych, lecz tylko współwłaścicieli, wybierających go co pewien czas, lecz mogących też wybrać go ponownie na czas nieograniczony. W każdym razie nie było mu wolno stać się założycielem dynastji panującej. Stany nie pozwoliłyby przenigdy na powstanie królestwa, chociażby minjaturowego, w obrębie wód amerykańskich.

Zastrzeżenie to miało prawdopodobnie powstrzymać od kupna jakiegoś ambitnego miljonera lub trochę zrujnowanego nababa, pragnących współzawodniczyć, z królami dzikich szczepów wysp Sandwich, czy innych, rozrzuconych po Pacyfiku.

Jednem słowem, jakikolwiek mógł być powód, dość, że nie zjawiał się żaden amator. Była godzina dość późna, wywoływacz nie mógł złapać tchu od ustawicznego wykrzykiwania, licytator ochrypł, zużywszy cały dar swej wymowy, a znikąd nie pojawiło się owo kiwnięcie głową, z niesłychaną bystrością zauważane przez szanownych agentów. Ba, nie zaczęto się nawet targować o cenę.

Należy zresztą przyznać, że podobnie jak młotek niezmordowanie uderzał w stół, tak samo też niezmordowanie wyczekiwała publiczność. Dowcipy padały to z tej, to z owej strony, żarty mniej lub więcej udane, obiegały salę. Jedni ofiarowywali za wyspę dwa dolary wraz z kosztami, inni żądali, by im jeszcze coś wydano z tej kwoty.

A wywoływacz wołał ciągle:

— Wyspa do sprzedania! Wyspa do sprzedania!

Nikt się nie zgłaszał.

— Czy daje się gwarancję, że są tam złote piaski? — zapytał kupiec towarów tekstylnych.

— Nie — odparł licytator. — Gwarancji się nie daje, ale nie jest wykluczone, że istnieją, a państwo odstępuje nabywcy wszystkie prawa do tych kopalń złota.

— To może znajdzie się tam przynajmniej jakiś wulkan? — rzucił sklepikarz.

— Nie, niema wulkanu! — odparł wywoływacz. — Z wulkanem kosztowałoby więcej.

Słowa te wywołały głośny śmiech.

— Wyspa do sprzedania! Wyspa do sprzedania! — ryczał licytator, napróżno zdzierając sobie płuca.

— Ani dolara, ani pół dolara, ani centa poniżej ceny ustanowionej! — zawołał po raz ostatni licytator. — Po raz pierwszy! Po raz drugi!...

Milczenie.

— Jeśli się nikt nie zgłosi, zamykam licytację!... Po raz pierwszy! Po raz drugi!...

— Daję 1,200.000 dolarów!

Słowa te zagrzmiały w sali niby strzał z rewolweru.

Całe zgromadzenie umilkło na chwilę, a wszystkie głowy zwróciły się ku szaleńcowi, który rzucił te słowa.

Był nim William W. Kolderup ze San Francisco.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy Rok.

Z Nowym Rokiem, z nowem życiem
Z jasnem słońcem, z serca biciem,
Z światłem, co mrok nie gasi,
Idziem ku Wam Bracia nasi!

W górę serca!... W pola pługi!
Skiby orać, jak kraj długi,
Od Bałtyku aż po Tatry
Niech z tem hasłem biegną wiatry!

I od Wisły aż do Warty
Niech wre praca nie na żarty!
Ode Śląska aż do Helu
Do jednego dążmy celu!

Hen od Wilna do Poznania
Jasna zorza się wyłania;
Od Warszawy do Krakowa
Z Nowym Rokiem dola nowa!

Bohdan Jeżowski.

Mądry Maciek.

W dawniejszych czasach i żydzi byli głupi, nie tacy, jak teraz, to dali się prędzej wywieść w pole, gdy chłop był mądrzejszy. Z tych to czasów można wiele ciekawych a śmiesznych gadek napisać.

Napiszę jedną o mądrym gospodarzu, a głupim żydzie, którą sobie starsi ludzie opowiadali, a było to tak:

Żyła raz żydowska rodzina bardzo biedna a miała kilku synów. Wysłała ona jednego z nich najstarszego, Mośka, gdzieś daleko na zarobek. Ten, pojechawszy, trafił jakieś zajęcie, a że był tam kilka lat, więc zarobił dużo pieniędzy.

Po kilku latach miał powracać do domu z temi pieniądzmi, więc najął sobie furmana z tejże wsi, aby go odwiózł do domu, bo kolei nie było. Furman ten nazywał się Maciek, a był bardzo mądry. Dowiedziawszy się, że żyd ten ma wiele pieniędzy, miał na nie chrapkę i całą drogę przemyśliwał, jakby je dostać. Żyd wiózł pieniądze w kuferku i dobrze je pilnował. Ale Maciek miał spryt wyśmienity, więc znalazł na to sposób.

Jadąc tak, przyjechali do jakiegoś miasteczka. Maciek został na wozie, a żyd poszedł do miasta. Po chwili wrócił i przyniósł cztery małe bochenki chleba, które położył na wozie i znowu poszedł. Maciek, zobaczywszy chleb, wziął dwa bocheneczki i zjadł. Przychodzi żyd i pyta się go, gdzie się podziały dwa chleby. Maciek mówi:

— No, głupi żydzie! ot leżą dwa.

— Nu, nu, Macieju — mówi żyd — ja w mieście kupił cztery chleba, gdzie się podziały dwoi?

— No, głupi żydzie, o leży dwoje.

— Macieju, co to takiego?

— No, żydzie — mówi Maciek — nie wiesz, że w tej wsi bardzo nie lubią żydów, i dużo jest rozbójników.

— Nu, Macieju, gdzie ja si podzieję, bo ja si ich boję.

— Czy ja wiem, gdzie? O, cicho siedź, bo i ja się ich boję.

— Nu, Macieju, weźci worek tyn, co była sieczka dla koni, wsadźcie mnie z tym kuferkiem, zawiążcie, a jak się będą pytać, co wieziecie, to im powicie, że to dzwon i będzie dobrze.

Jak żyd chciał, tak Maciek zrobił, wsadził go w worek, zawiązał i jedzie dalej. W pewnej chwili sam krzyknął:

— Hej, gospodarzu, co tam wieziecie?

— Oj, panoczki — mówi pokornie Maciek — ta dzwon.

— Spróbujemy, czy on dobrze dzwoni — mówi znowu Maciek, niby to żołnierz — i odpina orczyk od wozu i dalejże po żydzie raz, żyd zaraz w worku krzyknął na cały głos: „bęę" udając dzwon. Maciek znowu drugi raz, żyd: „gęę". Maciek trzeci raz, a żyd tylko zawołał: „dzię". Po chwili żyd woła:

— Nu, jak już nima nikogo, to mi wypuść.

Maciek rozwiązał worek i wypuścił żyda, a ten mówi:

— Wicie Macieju, gdyby mnie buło jeszcze raz tak pałło, bułoby już po mnie.

Gdy przyjechali do jednej wsi, nikt ich tam nie chciał przenocować, więc musieli pod karczmą nocować. Żyd mówi do Maćka.

— Nu, Macieju, co będzie z mojemi pieniądzmi?

— Ja wiem co? — mówi Maciek.



— Nu, nu, Macieju, jeszcze nie tak! Buliśmy w mieście, tak?

— Tak!

— Ja kupił czworo chleba, tak?

— Tak!

— No, a gdzie dwoi?

— E, głupi żydzie, ta o leży dwoje!

Żyd nie miał już co robić, siadł na sanie i pojechali dalej. Jadąc przez jedną wieś zobaczyli gromadę chłopaków obchodzących domy z toroniem — zaczął się więc pytać Maćka.

— Wicie co, Macieju, weźcie, przywiążcie mnie do sani na śpagacie, ja będę szczekać, jak pies, to złodziej nie przyjdzie, bo się będzie bał.

Maciek tak zrobił, jak chciał żyd, a sam poszedł gdzieś położyć się spać. Około północy wziął sobie dobrą pałkę i idzie do sani brać pieniądze. Żyd, który tam leżał pod saniami, zobaczywszy go, zaczął szczekać. Maciek żyda po głowie, po plecach pałką. Żyd widząc, że mu już bicie dobrze dopiekło, urwał się i uciekł hen gdzieś na łąkę. Maciej wziął kuferek, zaniósł go w znane sobie miejsce, zakopał i poszedł

tam, gdzie był. Rano przyszedł do sani, jakby nic nie wiedząc. Żyd zaraz mówi do niego:

— Wis Macieju, pieniędzy niema.

— Było pilnować — mówi Maciek.

— Nu, jak zaczęło mi walić, to mało mi nie zabiło. Byłoby mi zabiło, ale ja się urwał i uciek. To wielkie ścięście, żeście mi na słabym sznurku uwiązali. Ale ja się tem nie gryzę, że wzięło kuferek z pieniądzmi, bo ono mi musi oddać, bo nie odemknie, bo ja mam kluczyk.

Przyjechawszy do domu, zaczęli się go żydzi pytać o wszystko. Żyd im opowiedział, że zarobił dużo pieniędzy, ale mu je złodzieje ukradli, i opowiedział całą przygodę z Maćkiem. Żydzi mu mówią:

— Głupi Mośku! to ci sam Maćku pieniądze ukradł, tylko go podaj do sądu, to on ci je odda.

Mosiek usłuchał rady i podał Maćka do sądu gminnego, bo dawniej takich sądów jak dzisiaj nie było, tylko wójt wszystkie sprawy załatwiał. Maciek gdy się dowiedział, że go żyd podał do sądu, poszedł potajemnie do tego wójta i obiecał mu dać połowę z tych pieniędzy.

Na drugi dzień przyszli obaj do wójta do rozprawy. Pyta się wójt Maćka, czy on to wziął pieniądze żydowi. Maciek nie przyznał się do tego, choć go po kilka razy pytał. Wtedy mówi wójt do żyda:

— No, żydzie, może i Maciek nie widział pieniędzy, bo się nie chce przyznać, a świadków nie masz.

Ale żyd ciągle krzyczy, że Maciek mu je wziął, tylko się nie chce przyznać. Wtedy wójt mówi do żyda:

— No, to ja dam Maćkowi karę, aby się przyznał.

Kazał swoim parobkim, aby przywiązali Maćkowi sznur przez pół i posadził go na przypiecku. Koniec sznura kazał przepuścić przez komin na dach, a żydowi kazał wyleść na dach i trzymać koniec sznura. Ponieważ sznur był krótki, żyd musiał głowę swoją wetknąć w komin na przypiecku. Maciek palił hreczankę, dym szedł prosto w oczy żydowi, a ten myśląc, że to Maćka tak przypiekają, krzyczał:

— Aj waj, panie sędzia, niech mu pan już to podaruje, bo on nie wytrzyma.

Ale wójt tego nie słuchał i kazał jeszcze lepiej palić i mówił:

— Niech go dobrze piecze tego złodzieja Maćka.

Po godzinie takiej kary kazał wypuścić obydwóch na wolność. Maciek dał wójtowi co obiecał, wyśmiał się z żyda i odjechał, nie oddawszy mu nic. Żyd został chory z tego dymu, a po kilku tygodniach umarł. *W. K. L. J.*

Poradnik gospodarczy.

Wyrób pierników.

W poprzednim numerze „Roli“ obiecaliśmy podać naszym Czytelnikom, w jaki sposób sporządza się pierniki. Wprawdzie za dawnych czasów każda gosposia polska umiała je sporządzać bez żadnych przepisów, ale uczyła się tej sztuki od swojej rodzicielki, bo też i dawniej pasiek było więcej, a niemal każdy gospodarz posiadał własne pszczółki, a więc i miód własny. Z czasem pasiecznictwo w Polsce podupadło, a więc i sztuka robienia pierników stała się mniej znaną.

Sławne były dawniej pierniki polskie, a szczególnej toruńskie, które rozchodziły się po całym świecie, gdyż były nietylko dobre w smaku, ale zawierały również wiele właściwości leczniczych. I dziś wyrabiają tu i ówdzie pierniki, można ich dostać po sklepach cukierniczych i na odpustach, ale mają one przeważnie tę wadę, że brak w nich miodu. A piernik, aby nietylko był smaczny, ale ażeby także był artykułem leczniczym, musi być zrobiony na miodzie.

Sposób robienia pierników nietrudny. Bierze się w tym celu pół litra dobrego czytego miodu na kamienną miskę. Jeżeliby miód był scukrzały, trzeba go najpierw rozgrzać, aby stał się płynnym. Do płynnego miodu dodaje się dwie łyżki masła i rozciera się go wraz z miodem drewnianą łyżką tak długo, aż ta masa zbieleje. Potem wbija się w to 4 całe jaja i wsypuje pół szklanki miałkiego cukru. Do tego dodaje się dwie szklanki mąki żytniej pytlowanej i dwie szklanki pszennej, a dla zapachu szczyptę mielonych goździków i cynamonu, oraz szczyptę utartej skórki cytrynowej lub pomarańczowej, a wreszcie 3 łyżki sody aptecznej. To wszystko miesi się tak długo, aż ciasto stężeje tak, że łyżka w niem stanie. Gdyby ciasto było za rzadkie, trzeba dosypać nieco mąki i znów mieszać. Ciasto to należy następnie włożyć na czystą, masłem wysmarowaną blachę, nożem rozciągnąć i wstawić do pieca po chlebie na trzy kwadranse. — Od czasu do czasu trzeba do pieca zaglądnąć, aby się ciasto nie spaliło. Gdy już piernik jest upieczony, a chcemy go z blachy wydobyć, odwracamy blachę do góry dnem nad czystym papierem, uderzamy lekko w dno, a piernik wyleci. Piernik taki wynosimy następnie do chłodnego miejsca, a gdy wystygnie, jest już do użycia. Można go pokrająć w ładne kawałeczki, a zresztą i niepokrajany smakuje nietylko dzieciom, alei starszym.

Może niejedna z kochanych gospodyń powie mi: „Ktoby się tam tyle z tem packał! Niechby dzieci miały chleb, to im wystarczy!“ Słusznie i chleb jest pożywny, ale trzeba przytem wiedzieć, że piernik jest nietylko pożywny, ale i nadzwyczaj zdrowy. Jest on przedewszystkiem lekko strawny, więc może być z korzyścią spożywany nawet przez małe dzieci, przez osoby starsze i wogóle ludzi o słabym żołądku. Miodownik, zwany powszechnie piernikiem, odpędza wiele chorób, leczy inne, może więc być z korzyścią spożywany tak przez zdrowych, jak i chorych.

Podobnie robi się tak zwany piernik panieński. Bierze się kwaterkę miodu, 62 dkg pszennej mąki, 20 dkg cukru miałkiego, 8—10 dkg masła, 2 całe jaja, półtorej łyżeczki aptecznej sody, wszystko to razem miesza, a potem postępuje się tak, jak przy miodowniku polskim. Można też robić z takiej masy t. zw. całuski. Z wyrobionej, jak poprzednio opisaliśmy, masy wyrabia się okrągłe ciastka lub gumułki, układa na wysmarowaną masłem blachę, ale tak, aby jedno ciastko, nie dotykało drugiego i wstawia do pieca po chlebie na 20 minut. Pierniki takie, im dłużej czekają na zjedzenie tem są smaczniejsze.

Z takiego miodownikowego ciasta można też robić gwiazdki, pajace, Mikołajki i inne smakołyki. Nie zmienia się tu zupełnie smak, ale tylko wygląd zewnętrzny.

Kochani młodzi Czytelnicy, którzy jeszcze nie rozporządzacie własną wolą, a którym ślinka idzie na opisane tu smakołyki, proście swoich rodziców, aby z wiosną postarali się o jeden lub dwa pnie pszczół, a gdy te naznoszą wonnego miodu, poproście swoją mateczkę, aby Wam upiekła smacznego miodownika, a jedzącego, wspomnicie, żem Wam dobrze radził.

KRONIKA.

Sprawa uwięzionych posłów w Brześciu. Jak wiadomo, w październiku uwięziono kilkunastu posłów pod zarzutem przeważnie zbrodni politycznych. Dotych czas albo wypuszczono ich za kaucją, albo przeprowadzono już rozprawy sądowe, w więzieniu pozostaje jeszcze trzech, a mianowicie Bagiński, Ciołkosz i Dubois. Niektórzy z b. posłów, przeciw którym przeprowadzono już rozprawę sądową, zostali skazani na mniejszą lub większą karę więzienia, inni zostali uniewinnieni. Posłowie opozycyjni wnieśli w Sejmie interpelację, w której zarzucają oficerom w Brześciu, że uwięzionych bili i znęcali się nad nimi, podając przytem nazwiska oficerów. Zarzuty te, czy są prawdziwe, czy nie, zbada Sejm i wynik tych badań ogłosi. Interpelację powyższą wnieśli posłowie, którzy nie siedzieli w Brześciu, ci zaś, którzy tam siedzieli, ani oskarżeń zawartych w tej interpelacji nie potwierdzają, ani im nie zaprzeczają, więc też nie wiadomo, czy biło tam posłów, czy nie. Zapytany o to poseł Witos odmówił również odpowiedzi, a odmowę tę ogłosił w gazetach. Marszałek Piłsudski, który wyjechał na odpoczynek na Maderę, dowiedziawszy się o tych zarzutach, polecił przeprowadzić przeciw oficerom śledztwo, a jeżeliby się okazali winni, stosownie ukarać. I całkiem słusznie, ale też, gdyby się okazało, że oficerowie są niewinni, należałoby ukarać tych, którzy przeciw nim te zarzuty podnieśli. Należy przypuszczać, że sąd całą sprawę dokładnie zbada, a wyniki swych badań ogłosi i winnych, jeżeli są, ukarze.

O wyjazd do Brazylji. W związku z wiadomościami o wstrzymaniu emigracji do Brazylji, należy wyjaśnić, że z Polski do Brazylji wyjeżdżać mogą emigranci, posiadający brazylijskie wezwania imienne, nadesłane przez krewnych i znajomych, zamieszkałych w Brazylji. Rzemieślnicy ani robotnicy przemysłowi, o ile nie posiadają brazylijskich wezwań imiennych, nie mogą liczyć na wyjazd, gdyż konsulat nie udziela wiz tej kategorji emigrantów.

Straszny czyn wieśniaka. W Komarnie, powiat Rudki, wydarzył się wstrząsający wypadek. Oto do kancelarji lekarza miejscowego Dra Teodora Blauera przybył wieśniak ze wsi Ciszewice, niejaki Bunasz, prosząc o poradę. W chwili, gdy lekarz sporządzał dla pacjenta receptę, wyjął Bunasz z przyniesionej ze sobą kobiałki wyostrzoną siekierę i ugodził nią lekarza dwukrotnie w tył głowy, zabijając go na miejscu. Aresztowany Bunasz w czasie zeznań na policji symulował wpierw obłąkanie, pomimo to w pewnej chwili jako przyczynę zbrodni podał, że Dr Blauer spowodował swego czasu śmierć jego żony przez nieumiejętne leczenie, za co Bunasz postanowił zemścić się. Dotychczasowe dochodzenia stwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że ma się tu do czynienia z morderstwem, popełnionem z premedytacją.

Straszna śmierć parobka. Na drodze koło Oleska, w wąwozie zasypanym śniegiem, zostały znalezione skostniałe zwłoki Włodzimierza Woźniaka, lat 20, wieśniaka z Czechów (pow. Brody). Obok trupa znaleziono sanie z piwem bez koni, które zbiegły i w ten sposób uszły niechybnej śmierci, dnia jednak następnego zostały na polu przytrzymane. Oględziny zwłok nie wykazały żadnych obrażeń cielesnych, przyczyną więc śmierci denata była niemożność wydostania się z zasypanego śniegiem wąwozu.

Tajemnicze zniknięcie lekarki. Dnia 19 listopada u. r. znikła znana łódzka lekarka p. Felauer Skłodowska, licząca lat 56 i dotąd nie powróciła. Z początku sądzono, że Dr. Skłodowska wyjechała do Krakowa. Śledztwo zaprzeczyło tej wersji. Poczęto więc energicznie szukać przyczyny nagłego zniknięcia znanej lekarki i w trakcie śledztwa znaleziono w jej mieszkaniu list do przyjaciółki, której donosi, że pragnie położyć kres swojemu życiu i prosi, by ją przestano szukać. W liście donosi ponadto Skłodowska, że testament pozostawiła u adwokata Słonimskiego. Z testamentu wynika, że cały majątek zapisuje lekarka na rozmaite cele filantropijne i naukowe. Ośm tysięcy złotych ma otrzymać, wedle testamentu, jej służąca. Tajemnica zniknięcia Dr. Skłodowskiej jest nadal niewyjaśniona. Zdaje się jednak, że p. Skłodowska popełniła samobójstwo z żalu po śmierci swej matki, z którą razem mieszkała. Zaginiona lekarka jest krewną słynnej uczonej p. Curie-Skłodowskiej.

Bandyci w samochodzie. W ręce władz policyjnych w Łodzi wpadli dwaj groźni bandyci, którzy w ostatnich czasach dokonali na terenie województwa łódzkiego kilkanastu krwawych napadów i pod groźbą śmierci obrabowali pasażerów kilku autobusów. Opryszki, ścigani przez łódzki urząd śledczy, od paru dni ukrywali się w okolicach Skierniewic. Onegdaj wieczorem we wsi Wądrogów napadli na prezesa miejscowej kasy oszczędności Józefa Kaczyńskiego, powracającego samotnie do domu. Kaczyński, silny fizycznie mężczyzna, stawił im zacięty opór. Gdy przybiegł mu na ratunek jeden z gospodarzy, uzbrojony w dubeltówkę, zbóje rzucili się do ucieczki. Jak się okazało, w pobliżu czekał na nich samochód, którym odjechali w kierunku Mszczonowa. Zaalarmowana przez Kaczyńskiego policja, korzystając z jakiegoś prywatnego auta, puściła się w pogoń za zbójami. W Mszczonowie policjanci ich dogonili. Zbóje zabarykadowali się w jednym z domów i przywitali swych prześladowców gradem kul. Wywiązała się zaciekła walka, która trwała kilka godzin. W rezultacie bandyci zostali ranni i byli zmuszeni się poddać. Odstawiono ich pod silnym konwojem do szpitala. Stwierdzono, iż jeden z nich, legitymujący się książeczką wojskową na nazwisko Wawrzyńca Nowickiego, w rzeczywistości nazywał się Józef Boniecki, drugi zaś nazywał się Józef Rębowski. Obaj ujęci przestępcy wraz z już poprzednio ujętymi wspólnikami, niedawno dokonali zbrojnego napadu na mieszkanie jednego z księży pod Łodzią, dalej napadli na mieszkanie zamożnego obywatela ziemskiego, Mniszewskiego w Rozprzy oraz obrabowali trzynastu pasażerów autobusu w okolicach miejscowości Kobiele. W jaki sposób zdobyli samochód, dotychczas nie ustalono. Policja stwierdziła, iż bandyci utrzymywali kontakt z kilkunastu paserami, którym sprzedawali swe łupy. Paserzy ci, dowiedziawszy się o dokonanych aresztowaniach, ukrywają się obecnie przed władzami.

Napad dzika na kobietę. Na zdążającą ze Świecia do Grudziądza Marję Jabłonowską napadł na drodze koło lasu wielki odyniec i ciężko ją pokaleczył. Następnie dzik rzucił się na gospodarza jadącego końmi w pole, ten jednak zdołał dzika odpędzić i udzielił Jabłonowskiej pomocy.

11-letni herszt bandy. W Czarnkowie koło Poznania od kilku miesięcy wydarzały się kilka razy tygodniowo śmiałe włamania do tamtejszych sklepów. Podjęte przez władze policyjne dochodzenia doprowadziły do sensacyjnych wyników. Okazało się, iż sprawcami kradzieży była szajka złożona z 6 uczniów miejscowej szkoły powszechnej, przyczem hersztem był najstarszy z nich, liczący 11 lat. Młodocianych złodziei, którzy przyznali się do kradzieży, ulokowano w domu poprawczym.

Śmierć w płomieniach. Z Wilna donoszą: We wsi Lipiny wybuchł pożar. Wskutek silnego wiatru ogień przerzucił się z błyskawiczną szybkością na zabudowania sąsiednie. Zorganizowanie pracy ratowniczej napotykało na wielkie trudności z powodu braku dostatecznych środków. Mimo olbrzymich wysiłków ogień strawił kilkanaście zabudowań gospodarskich, w tem kilka domów mieszkalnych. W czasie ogólnego popłochu zapomniano o 60 letnim paralityku, który pozostał w płonącym domu. Rozpaczliwe wołania nieszczęśliwego posłyszała siostra jego i pospieszyła mu z pomocą. Bohaterstwo swe przepłaciła życiem, ginąc w płomieniach.

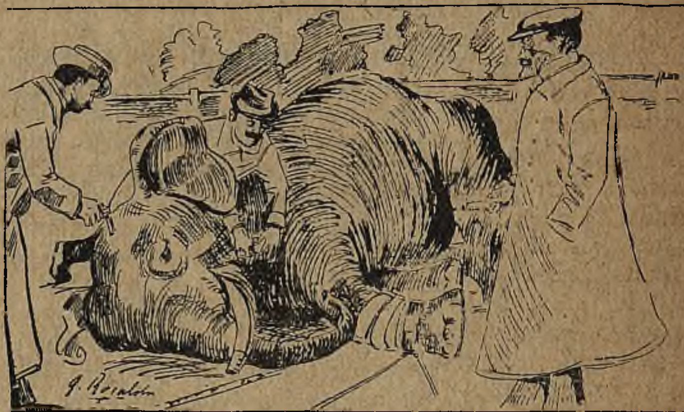
Zniknięcie kata. Słynny czechosłowacki kat Broumarskv, o którym pisaliśmy niedawno, zaznaczając jego niezwykłe powodzenie, jakiem cieszy się u płci pięknej swej ojczyzny, znikł nagle w tajemniczy sposób. Wiadomem jest, że Broumarsky został z dniem 31 grudnia b. r. zwolniony ze służby państwowej, ponieważ udzielił interwiewu jakimś brukowym gazetom w Pradze i w wywiadach tych zdradził pewne szczegóły dotyczące jego ostatniej działalności, co mu poczytane zostało jako naruszenie tajemnicy państwowej. Przed swem zwolnieniem jednak miał on jeszcze wykonać dwie egzekucje. Po otrzymaniu dekretu zwalniającego ze służby kat w stanie silnego podniecenia nerwowego wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił, zachodzi tedy obawa, czy nie targnął się na swe życie. Zniknięcie jego pociągnęło za sobą odłożenie terminu egzekucji na osobie mordercy Jana Straka i włóczęgi Franza Kristena, który w czerwcu ub. roku zadusił 6 letnią dziewczynkę, gdy zastała go w chwili dokonywania włamania do domu swych rodziców. Wszystko potrzebne do wykonania tych dwóch egzekucyj jest już przygotowane i muszą one ulec zwłoce na skutek chwilowego braku kata.

Człowiek o trzech ramionach. Na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego wiedeńskiego zademonstrowano niezwykły wypadek istnienia trzech ramion u człowieka. Chodzi tu o 50-letniego, zdrowego i krzepkiego chłopa salzburskiego, którego lewe ramię z natury jest zniekształcone i sięga tylko do łokcia Jakgdyby chcąc mu naprawić tę krzywdę, przyroda stworzyła trzecie ramię, które zwisa z lewej piersi na wysokości piątego żebra. To ramię jest również niezupełne, jest bowiem tylko ręką z dwoma palcami, oraz z trzema kikutami palców.

Adwokaci bez butów i spodni. Pewien praktykant sądowy we Wiedniu zjawił się na rozprawę bez trzewików, tylko w samych skarpetkach. Na pytanie sędziego, coby to miało znaczyć, urzędnik ów, który nawiasem mówiąc, jest inwalidą wojennym, oświadczył, że posiada tylko jedną parę bucików, którą musiał oddać do szewca do naprawy. Chociaż tego rodzaju wystąpienie młodego aplikanta należy uważać za demonstrację, nie da się zaprzeczyć ani ukryć, że młodzi urzędnicy sądowi w Austrji są w rozpaczliwem położeniu. Pobierają oni wynagrodzenie tylko w pierwszym roku swej praktyki sądowej, później pozostawieni są sami sobie, przeważnie zupełnie pozbawieni środków do życia. Znany jest w kołach wiedeńskich prawników wypadek, że pewien praktykant nie mógł dokończyć swej praktyki, gdyż nie posiadał spodni. Inny upadł pewnego dnia na ulicy, gdyż cztery dni nie miał nic w ustach! Pewien sklepikarz w okolicy sądu okręgowego codzień dostawia dla dwóch protokolantów tego sądu po jednej bułce z masłem, przekonał się bowiem, że panowie ci nie mogą pozwolić sobie na śniadanie i o pustym żołądku nieraz pracują cały dzień.

Dramat w grobowcu. W Dolnej Austrji znany archeolog Szlesinger odnalazł niezwykle ciekawe wykopalisko — grób, w którym spoczywały dwa szkielety, pochowane tam według przypuszczeń archeologa przed 4 tysiącami lat. Położenie tych szkieletów i ogólny wygląd grobu pozwalał odtworzyć w zupełności ze wszystkiemi szczegółami historję, która miała miejsce przed 40 wiekami. Jeden ze szkieletów należał do mężczyzny. W grobowcu znaleziono naczynia z resztkami jadła, w które zaopatrzono nieboszczyka dla jego życia pozagrobowego; ręce i nogi zmarłego były związane, widocznie aby nie mógł wstać ze swej mogiły. Drugi szkielet należał do kobiety, napewno wdowy po zmarłym, pochowanej dawnym zwyczajem wraz ze swoim mężem. Czaszka kobiety rozbita była kamieniem, który znaleziono w tym samym grobie, jednakże stwierdzono, że wdowa nie zmarła na miejscu, a straciła tylko przytomność i została złożona żywcem w mogile. Następnie ocknęła się widocznie i próbowała wszelkiemi siłami wydostać się z podziemi, nienaturalne położenie szkieletu i skurczone palce u rąk stanowią niezbity dowód hipotezy uczonego.

Zgładzenie słonia. We Frankfurcie, w Niemczech, w ogrodzie, w którym znajdują się dzikie zwierzęta, żył olbrzymi słoń, zwany „Zak“, któremu z powodu wypadku utworzyła się na przedniej nodze duża rana, skutkiem której chodzić nie mógł i bardzo cierpiał.



Gdy wszelkie zabiegi lekarzy nic nie pomogły postanowiono zgładzić wspaniałe zwierzę, by nie cierpiało więcej. Zastrzyknęli mu więc lekarze do krwi 30 gramów morfiny, trucizny, któraby zabiła w tej ilości 1.200 ludzi. Ale to nie zwaliło słonia z nóg. Nie wiele też pomogło zastrzyknięcie drugiej trucizny, chloroformu. Osłabł tylko po niem, lecz żył dalej. Dopiero strzał w oko, tak, że kula dostała się do mózgu, pozbawił olbrzymie zwierzę życia i cierpień.

Następca tronu przed sądem. Przed sądem wojskowym w Rydze stanął niejaki Jan Kapberg, obywatel łotewski, oskarżony o kilkakrotną dezercję z wojska i pretensje do korony i tronu nieistniejącego państwa. Oto na obszarze republiki łotewskiej w powiecie windawskim, przed kilkuset laty zamieszkał szczep, który w dziejach ludzkości znany jest pod nazwą Liwów. Z biegiem czasu Liwowie ci wymierali, emigrowali do innych powiatów i obecnie liczą zaledwie kilkadziesiąt osób zamieszkujących w jednej wiosce, ostatni z Mohikanów wielkiego ongiś szczepu porozumiewają się z sobą starożytnym językiem Liwów, różniącym się znacznie od mowy łotewskiej. Przed 10 laty właściciel tej wioski, Kapberg, ogłosił, że jest królem Liwów, Uldrysem I ym. Królestwo jednak nie zostało uznane ani przez Łotwę ani też przez Ligę Narodów. „Uldrys I“ nie dał za wygrane i wypowiedział wojnę Łotwie, walcząc o niepodległość swego narodu i państwa. Odmówił on stanowczo płacenia podatków, nie uznawał prawa łotewskiego,

nie uczęszczał do kościoła, a w dni świąteczne zwoływał do swego mieszkania kilku zwolenników idei niepodległości i czytał im biblję. Na wiosnę ubiegłego roku syna „Uldrysa I“ i oficjalnego następcę tronu powołano do wojska. Jan Kapberg nie stawił się jednak w PKU., wobec czego aresztowano go i wcielono do pułku w Windawie. W koszarach syn „Uldrysa I“ zachowywał się jak warjat i stale wchodził w kolizję z regulaminem służby garnizonowej. Uniformu nie włożył, nie odpowiadał na żadne pytania przełożonych, odmawiał jedzenia z kotła żołnierskiego, a po nocach błąkał się po koszarach. Obserwacja lekarzy-psychjatrów wykazała, że „następca tronu“ jest zupełnie zdrów na umyśle. Na przewodzie sądowym „następca tronu“ milczał, lekceważąc wszystkie pytania przewodniczącego. W pierwszym rzędzie krzeseł dla publiczności zasiadł sam „król Liwów“, którego półmetrowa siwa broda wzbudzała ogólny podziw. Kilkakrotnie zrywał się on z miejsca i zaczynał przemawiać w języku Liwów, lecz usłyszawszy ostrzeżenie przewodniczącego, że zostanie wyprowadzony z sali sądowej, uspokoił się wreszcie. Sąd skazał Jana Kapberga na rok domu poprawczego. „Uldrys I“ po wysłuchaniu wyroku wstał i zwracając się do syna, rzekł uroczyście:

— Będziemy nadal walczyć. My chcemy wolności dla Liwów. Bądź mocny, mój synu — i uścisnąwszy dłoń syna, spokojnie wyszedł z sali.

Powstanie chłopskie na Białorusi sowieckiej. Z pogranicza donoszą, iż chłopskie powstanie w okręgu mińskim przybiera coraz poważniejsze rozmiary. Według doniesień wywiadowczego biura politycznego w Moskwie liczba partyzantów wynosi obecnie około 2,000 ludzi. Partyzanci posiadają karabiny maszynowe i grasują przeważnie setkami, poprzedzani mniejszymi oddziałami, liczącymi po 25 ludzi. Stłumienie tego ruchu przez władze sowieckie napotyka na wielkie trudności, gdyż powstańcy są życzliwie traktowani przez włościan, którzy ukrywają ich w lasach. Akcję przeciwko powstańcom prowadzi specjalny oddział GPU. konny i narciarski. Według nadeszłych informacyj partyzanci w ciągu ubiegłych dwóch tygodni dokonali przeszło 100 napadów na instytucje sowieckie, drobne oddziały wojska, rozbili dwa ambulanse pocztowe, obrabowali 4 kasy oraz zabili 15 komunistów i 10 żołnierzy. Do dnia 15 grudnia rozstrzelano 75 partyzantów, zaś 860 wysłano do Archangielska na ciężkie roboty. Władze sowieckie, celem wytropienia partyzantów, wyznaczyły nagrodę pieniężną w naturze za każdego zabitego lub złapanego.

Pożar okrętu. Dzienniki wiedeńskie donoszą z Belgradu, że w Panczowie nad Dunajem spłonął rumuński okręt, wiozący ładunek nafty do Budapesztu. Pewien marynarz wszedł do wnętrza okrętu z palącą się lampą, od której zapaliła się nafta. Kapitan okrętu, Constantinescu, który usiłował zdusić ogień w zarodku, został ogarnięty płomieniem i spalił się. Wobec tego, że zachodziło niebezpieczeństwo, iż pożar przerzuci się na inne okręty, przesunięto okręt na drugi brzeg, gdzie doszczętnie spłonął.

Zderzenie dwóch okrętów. Podczas gęstej mgły w pobliżu wyspy duńskiej Laesoe zderzyły się dwa statki, należące do fińskiej linji okrętowej w Helsingforsie, „Oberon“ i „Arcturus“. Statek „Oberon“, liczący 3 tysiące tonn pojemności, wybudowany dopiero w 1925 r. został tak silnie uszkodzony, że w parę minut po katastrofie zatonął. „Arcturus“ został także poważnie uszkodzony, jednakże ponad linją zanurzenia. Na pokładzie statku „Oberon“ znajdowało się 60 osób załogi i 21 podróżnych, w tem jedno dziecko. Wyratowano zaledwie 4 podróżnych i 32 osoby załogi. Reszta załogi i pasażerów zginęła w falach morskich.

Walka z chrześcijaństwem w Chinach. Ostatniemi czasy zachodzą w Chinach coraz częściej gwałty i zabójstwa dokonywane na misjonarzach chrześcijańskich. Zdarzenia te znajdują się w związku z bardzo ostrą propagandą, prowadzoną przez skrajnych nacjonalistów chińskich przeciw wpływom cudzoziemskim. W związku z tem powstał nawet w Chinach potężny ruch przeciwchrześcijański. O metodach bezwzględnej walki tego obozu z chrześcijaństwem świadczy między innemi odezwa, wydana niedawno przez przywódców tego ruchu do narodu chińskiego. Odezwa brzmi następująco: „Chrześcijaństwo jest tylko zwiastunem imperjalizmu zachodniego. Chrześcijaństwo jest tylko wyższą formą przesądów zachodnich; musimy się uwolnić od tych zabobonów, jeżeli chcemy, by Chiny zajęły należne im miejsce w świecie. Chrześcijaństwo nie da się pogodzić z rozwojem stanowiska prawdziwie naukowego narodu chińskiego. Chrześcijaństwo za wszystkich czasów było konserwatywnem i reakcyjnem pod względem społecznym, sprzeciwiało się postępowi i obniżało umysł swych wiernych. Misjonarze i nawróceni żyją na stopie całkowicie różniącej się od stopy życia narodu chińskiego: wykorzystują oni w rzeczywistości owoce pracy Chińczyków i cieszą się dobrodziejstwami swej wyższej sytuacji, nie dając w zamian nic. Chrześcijaństwo zmierza do wynarodowienia narodu chińskiego i do podminowania spadku przekazanego nam przez wieki. Chrześcijaństwo czyni z nawróconych Chińczyków uległych psów, wiernych imperjalizmowi i kulturze zachodniej i nie przynosi żadnego dobrodziejstwa realnego“. Oczywiście odezwa taka podburza Chińczyków, a ci napadają potem na chrześcijan i mordują ich.

Pierścień dla rozwódek. W Ameryce niejednokrotnie już zajmowano się sprawą, w jaki sposób odróżnić ludzi żonatych i kobiety zamężne od wdowców i wdów lub od rozwiedzionych. Projektowano więc, ażeby obrączkę na palcach tatuowano, a w odmienny sposób przekreślano ją w razie śmierci jednego z małżonków albo w razie rozwodu. Wszystkie te projekty się nie przyjęły, aż dopiero obecnie niejaka Mac Clelland Barclay, która niedawno uzyskała rozwód ze swoim mężem, wystąpiła z nowym projektem, wierząc w jego przyjęcie się do tego stopnia, iż go nawet opatentowała. A więc odtąd rozwiedziona małżonka ma nosić na trzecim palcu lewej ręki pierścień onyksowy, w którego wnętrzu miałoby być wyryte słowo „wolna“. Jednak duchowieństwo protestanckie w Ameryce, które atakuje bardzo gwałtownie rozwody, występuje też ostro przeciw modzie pierścieni onyksowych, nazywając je „godłem spodlenia“, ale właśnie ta kampanja, podniecając zmysł sprzeciwu u kobiet, toruje drogę nowej modzie.

Śmiertelna walka boa dusiciela z tygrysem. Z Bombaju donoszą o rzadko zdarzającej się walce między tygrysem i wężem. Mianowicie na jednej z plantacyj gumowych koło Lahore, jeden z pracowników, zdradzając nadzwyczajne podniecenie, przybiegł do swego chlebodawcy i opowiedział, że widział w pobliżu dżungli okrutną walkę tygrysa z olbrzymim wężem boa dusicielem. Właściciel plantacyj wraz z kilkoma pracownikami pobiegł natychmiast na wskazane miejsce, gdzie zastano jednak tylko jeszcze drgające ciało węża długości 10 metrów o obwodzie 1 metra. Pozatem na miejscu boju zauważono rozrzuconą sierść tygrysią.

Na fundusz wydawniczy nadesłali pp.:
Jan Lichański z Przecieszyna 90 groszy dla Maćka na śledzia; Rudolf Bierski z Pruchnej zł. 1.30 dla Maćka; Kacynek Kazimierz z Łużek 50 gr. dla Maćka.

RZECZY CIEKAWE.

Rozwój jedwabnictwa w Polsce.

Jedwabnictwo w Polsce rozwija się powoli, ale stale. Gdy w r. 1924 mieliśmy w Polsce zaledwie 8 punktów hodowli jedwabnika, wr. 1928 było ich już 360, a w r. b. liczba ta wzrosła do 400. Gwarancją przyszłego rozwoju tego przemysłu w Polsce jest wzrastająca wciąż ilość sadzonych drzew morwowych. W r. b. np. zasadzono w różnych punktach kraju około 40 tysięcy sztuk drzewek morwowych. Centralna stacja jedwabnicza w Milanówku przerobiła w r. b. około 60 tysięcy metrów różnorodnej materji jedwabnej, wyprodukowanej z polskiego surowca. Jakość wyrobów polskich jest, zdaniem znawców, bardzo wysoka.

Wąż połykający jajka ptasie.

Przyrodnik rzymski Pliniusz, który żył od 23-go do 79-go roku naszej ery, opowiada już w swem wielkie mdziele „Historia naturalis" o pewnych wężach, które wybierają jajka z gniazd ptasich, połykają je, silnemi skurczeniami swego ciała rozgniatają i spożywają. Długi czas uważano to opowiadanie starożytnego naturalisty za wytwór fantazji. Dopiero nowsze wyprawy naukowe dowiodły, że Pliniusz miał do pewnego stopnia słuszność. W Indjach azjatyckich żyje wąż, zwany Elachistodon, który żywi się głównie jajkami, wybieranemi z gniazd ptasich.



Wąż ten połyka jajka średnich rozmiarów, co mu zresztą nie przychodzi z wielką łatwością; zęby ma on zakrzywione w ten sposób, że działają one dopiero po zupełnem zamknięciu szczęk. Wówczas też jajko pęka, a cała jego zawartość zostaje pochłonięta przez węża, który następnie odrzuca same tylko skorupki. Węże, żywiące się jajkami, są niewielkich rozmiarów.

Jak długo żyją zwierzęta?

Przeważna ilość zwierząt czworonożnych żyje znacznie krócej od ludzi. Wyjątek stanowią słonie, które sięgają często wieku dwustu lat, a dalej nosorożce i hipopotamy. Do tego towarzystwa wiekowych zwierząt należy jeszcze włączyć wieloryby, a z królestwa ptaków orły i papugi, które żyją niekiedy wiele dziesiątków a nawet setek lat.

W 1772 roku na przylądku Dobrej Nadziei schwytano sokoła, który miał przytwierdzoną do nóżki „kartkę" z datą 1610 roku. W Schoenbrunie, w miejscowym ogrodzie zoologicznym, przebywał w swej klatce białogłowy sęp w ciągu 118 lat.

W Ameryce, w Venezueli znana była papuga, której słów nikt nie mógł pojąć, gdyż ta „przemawiała" w języku dawno zaginionego i zapomnianego plemienia.

Kanarki i inne ptaki śpiewające, rzadko kiedy przekraczają 20 lat życia. Gady i ziemno-wodne stworzenia żyją naogół dosyć długo. Znana jest również długowieczność życia ryb. W tym świecie największą sławą cieszy się szczupak, schwytany w 1497 roku, który miał doczepiony do ciała pierścień z pływakiem, oznaczony datą 1230 roku. Niestety niema zupełnej pewności, czy data ta jest autentyczna.

Bezkręgowce żyją nadzwyczaj krótko, najwyżej do 20 lat. Również owady umierają „w młodym wieku". Znany jest gatunek motyli i much, które żyją tylko jeden dzień, od poranku do zachodu słońca.

Potwory głębin morskich.

Gdy promienie słoneczne ogrzeją górne warstwy wód morza Adrjatyckiego do temperatury 18—20 stopni, wtedy z głębin morskich na powierzchnię wydobywają się olbrzymie potwory. Jednym z nich jest zadziwiającej wielkości ryba t. zw. „ryba księżycowa". Ciało jej spłaszczone po bokach przypomina koło. — Twarde jak rzemień drobne łuski pokrywają skórę ryby na podobieństwo szkła. Gdy ryba ta leży nieruchomo na powierzchni wody w blaskach księżyca, wygląda jak płyta marmurowa. Stąd nadano jej nazwę „ryby księżycowej". Waga jej dochodzi do 600 kg. Jest to waga, której rzadko dosięgają ryby, chyba tylko rekiny.

Drugim potworem Adrjatyku jest polip. Żyje on nietylko w Adrjatyku, lecz i w morzu Śródziemnem. Znane są w tych morzach 3 jego gatunki. Jeden z nich posiada macki dwumetrowej długości. Polipy trzymają się w głębokości 10-metrowej, zajmując pieczary, których pełno jest przy brzegu. Dalej od wybrzeży na otwartem morzu przebywają legendarne ośmiornice, posiadające macki 12-metrowej długości, a wagę około 200 kg. Piorunująca jest szybkość, z jaką ośmiornica porywa swe ofiary. Ulubioną jej strawą są raki morskie. Mięso młodych polipów uważane jest za przysmak szczególnie wśród ludności na wybrzeżach Adrjatyku. Rybacy greccy suszą polipy i wędzą, zachowując je na lata głodu. Ciekawe, iż żywego polipa nikt jeszcze nie zdołał złowić z morza.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **K. Kacynel** w Ł.: Każdy list, choćby on był jak najnieudolniej pisany, czytamy od początku do końca, jak również i utwory nadsyłane przez naszych Czytelników. List Pański przeczytaliśmy z prawdziwem wzruszeniem i ogromnie nam żal Pana, że taki nieszczęśliwy. Może jednak Pan Bóg się zlituje i jeszcze jakoś los ten zmieni. W każdym razie, jeżeli już nie na tym świecie, to w przyszłości stokrotnie to wynagrodzi. Wyroki Boskie są niezbadane. Nadesłane nam wierszyki zdradzają pewien talent, ale zbyt dużo jeszcze w nich usterek. Np. nie można rymować słów w „stajence"-„dziecince", „dzieciątko"-„prędko" i t. p. Wprawdzie usterki te możnaby poprawić, ale na to nie mamy stanowczo czasu. — **Emilja Baczyńska** w H.: Adresu p. Juljana Baczyńskiego nie znamy. W sprawie siostry, niestety, nic narazie poradzić nie możemy. Wiele ukończonych seminarzystek daremnie szuka jakiejkolwiek posady, a znaleźć jej nie mogą. — Gdybyśmy się o czemś dowiedzieli, natychmiast Panią zawiadomimy. — **Jan Dzień** w Szcz.: Kalendarzy tych na

składzie nie mamy. Dostanie go Pan w Księgarni Kaspra Wojnara (Warszawa, ul. Marszałkowska). — **Piotr Wenc** w S.: Artykulik otrzymaliśmy; dziękujemy. — **Władysław Dobrowolski** w R.: Nie możemy udzielić całkiem pewnych wyjaśnień, gdyż sprawę długów koronowych względnie markowych sądy najrozmaiciej traktują. Raz biorą pod uwagę ich realną wartość w stosunku do dolara w chwili pożyczania, drugi raz stosują ustawę waloryzacyjną, która przyznaje tak małe kwoty, że równają się one zeru. — **Stanisław Słomka** w S.: Forma wiersza dość dobra, ale treść zbyt pospolita. Nie zamieścimy. — **Piotr Tylec** w K.: Wylosowane nagrody prenumeratorom pozamiejscowym wysyłamy pocztą, miejscowi sami sobie je odbierają w Administracji „Roli". — **Podhalanin** w B.: Nowelkę zamieścimy. — **Józef Hebda** w P.: Rozwiązania najlepiej przesyłać na kartce korespondencyjnej. W liście trzeba opłacać 35 groszy, choćby list był niezaklejony. — **Antoni Kozłowski:** „Niebieski liścik" zupełnie dobry. Czy własnego pomysłu? — **August Wasylecki** w T.: Forma wierszyka zupełnie poprawna, brak w nim jednak głębszej myśli. — **Witold Urbanek** w K.: List oddaliśmy Administracji i mamy nadzieję, że do życzenia się zastosuje. Tren żałosny przeczytaliśmy z prawdziwem rozrzewnieniem, ale znowu tak źle nie jest, jak Pan to pisze. Jeżeli się człek uprze, to na rzecz tak miłą pieniądze znaleźć się muszą; tu oszczędzi złotego, tam złotego i jakoś połata, a z rzeczą umiłowaną się nie rozstanie. — **Jacek Orlik** w L.: Dedykacji przy utworach z zasady nie umieszczamy, gdyż szerokiemu ogółowi czytelników nic ona nie powiada, a zajmuje niepotrzebnie tylko miejsce. — **Piotr Faron** w K.: Wierszyki pisane ołówkiem na pocztówce tak się w drodze zatarły, żeśmy ich odczytać nie potrafili. — **Jan Stefaniszyn** w K.: Do świątecznego numeru przyszło zapóźno, gdyż numer ten musieliśmy znacznie wcześniej wydrukować. — **Józef Waniszewski** w Ł.: Opowiadanie napisane zajmująco, ale brak w niem formy literackiej. Wierszyki zdradzają duży talent, lecz jeszcze są niezupełnie dobrze wykończone. Może dalsze prace nadadzą się zupełnie do druku. — **Kazimierz Konowalec** w L.: W teczce mamy przygotowane dziesiątki nadzwyczaj zajmujących utworów, a dalsze ciągle napływają. Materjału ciekawego nigdy nam nie braknie. — **Michalina Ostrejkówna** w L.: Nie, nie, tak nie można! I temu głowę zakręcić, i na tamtego czule popatrzyć, i temu gorąco dłoń uścisnąć, toż to jest zwykłe okłamywanie ludzi. Gdy się jeszcze poznają na wartości tych umizgów, to pół biedy, ale gdy kto weźmie je za dobrą monetę i zapłonie ognistą miłością ku panience, to co wtedy? Gdyby to był jeden, to za miłość miłością można zapłacić, ale gdy rozgorzeje ich więcej, to cóż paniusia uczyni? „Będę wszystkich kochać!" — powiada panienka. Możeby to i dobrze było, gdyby to było możliwe. Ale miłość ku wszystkim nie jest miłością. Albo jednego, albo żadnego! — **Paweł Oparski** w S.: Po książki niech Pan napisze do księgarni, Kraków, ul. Gołębia 10/R. Nie wszystkie jednak Pan dostanie, gdyż niektóre są wyczerpane. „Rok 1846" napisał b. ładnie ks. Dębiński, ale książka ta, zdaje się, również wyczerpana. Może tę lub podobną mógłby Pan dostać w „Bibljotece Krakowskiej" (ew. konserwatorów). — **Franciszek Pasierb** w F.: Książkę tę otrzyma Pan w księgarni Teofila Firuta, Frysztat (Śląsk Cieszyński). —

Z braku miejsca dalszy ciąg Odpowiedzi w nast. numerze.

Zagadki do nagrody.

1. Rebus.



2. Szarady.

I.

(Ułożył Alfons Czader).

Pierwsze to przysłówek,
Drugie trzecie płyną,
Całe to owoce
Co z dobroci słyną.

II.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

Kruk krukowi pierwszego trzeciego nigdy [nie wykole!
Mówił trzeciej drugiej nauczyciel w szkole,
Zaś ona mu całość wnet wytłumaczyła,
I znaczenie tej szarady tak mu wyłożyła:
Szarada niniejsza jest najprostszą w świe- [cie,
Rozwiązać ją może nawet małe dziecię
Wszak całość w legendach mamy opiewane
Religijnych. A jest to drzewo wszystkim [znane.

III.

(Ułożył Józef Weber z K.).

Pierwsza pół druga
Znana wszystkim rzeka
Płynąc szeroko do Wisły ucieka,
Zaś drugie to wiecie,
Że każde dziecko bawi się niem w lecie,
Gdy już po całej zapłacie
Całość za towar otrzymacie.

3. Przestawianka.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

Sędzia zbiera rano z rzeki makaroniki.

Z powyższego zdania ułożyć znane przysłowie.

4. Bilety wizytowe.

I.

Adam Kurtowryty Kowno

II.

Hektor Cent Kiel

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 10 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 50 „Roli": 1. Logogryf: Marja Konopnicka. 2. Szarady: I. Kanapa. II. Gitara. 3. Szarada literowa: Wisła. 4. Logogryf: Mikołaj Rej.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Franciszek Butkiewicz z K., Władysław Gąsienica z Z., Amalja Ogorzałowa z S. K., Franciszek Raszyk z Ł., Wojciech Buraczek z G., Jan Golik z Szcz., Jan Muzyka z D., Jan Wiecheć z Z., Ludwik Pająkowski z S., Franciszek Starek z S., Jan Kęder z W., August Wasylecki z T., Zygmunt Schwenk z W., Ignacy Sojka z D., Antoni Krótki z M., Józef Hebda z P., Marja Woźniakiewicz z G., Józef Kołatek z S., Jarosław Baziuk z K., Jan Strzetelski z K., J. Kalarus z Z., Jan Wojnar z M. G., J. Tomasikówna z R., Józef Górecki z K., Piotr Tylec z K., Wawrzek Miesiączek z L., W. Pulchny z G., K. Syposz z R., L. Wołek z Rz. Jan Mazgaj z S., Jan Kluba z O., M. Romanescu z K., H. Bandułówna z M., L. Z. i M. M. z B. G., J. Kopacz z S., Stefan Woś z R., Piotr Wenc z S., J. Pragłowska z Z., M. Pawełek z B., Józef Topolski z B., Stefan Jaworski z P., W. Kula z M. K., J. Kublin z L., Wł. Sowiźrał z J., St. Nowak z R., Piotr Godzyk z W., Fr. Bojda z N., J. Dzień z Szcz., J. Gara z W., Fr. Dybał z A., J. Cieplik z K., Fr. Pasierb z Z.

Nagrody wylosowali pp.: Janina Tomasikówna z R. i Stanisław Nowak z R.

Znaczenie zagadek z Nru 51 „Roli": 1. Logogryf: Mikołaj Kopernik. 2. Szarady literowe: I. Chatka. II. Jesień. III. Zagadki: I. Centrolew. II. Nowak. III. Topor. IV. Przestawianki: I. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. II. Kto nie panuje nad sobą, nad tem panują inni. III. Kto wiatr sieje, ten burzę zbiera.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali p.: Jan Machaj z R., K. Kowalczykówna z K., St. Dadaj z K., M. Nalepa z W., J. Gara z W., K. Sowa z M., Józef Cieplik z K.

Nagrody wylosowali pp.: Karol Sowa z M. i Kazimiera Kowalczykówna z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Jacuś, Wicuś i Maciuś.

Między małymi berbeciami I klasy było trzech chłopczyków: Jacuś, Wicuś i Maciuś. Zgodny to był triumwirat, noszący nazwę osiołków. Raz na parę godzin przed zaczęciem egzaminu, zacny ksiądz prefekt nakładłszy wszystkim w uszy, ile się tylko zmieściło, namustrowawszy na wszystkie sposoby, ażeby popis poszedł gracko, pragnął zarazem, aby i ten trumwirat aniołków popisał się z czymkolwiek, przeznaczył im pytania i nauczył odpowiedzi, a po skończonej nauce rzecze jeszcze do nich:

— Pamiętaj Wacuniu, że jak się zapytam: kto cię stworzył? odpowiesz prędko: Bóg Ojciec. — Ty Maciusiu na pytanie: kto cię odkupił? odpowiesz: Jezus Chrystus. — Ty zaś Jacusiu pamiętaj, że jak się zapytam: kto cię poświęcił? powiesz: Duch święty. Pamiętajcie, żebyście nie zrobili mi wstydu!

Chłopacy przelękli, zaczęli po cichu powtarzać sobie przeznaczone pytania i odpowiedzi. W tem wszedł wizytator i razem ze zwierzchnością szkolną zasiadł przed dużym stołem, okrytym suknem.

Naprzód rozpoczęto popis z nauki religji. Sypnęły się pytania, odpowiedzi leciały jak grad i ksiądz uśmiechał się zadowolony z dobrych odpowiedzi, wreszcie zbliża się do Maciusia i pyta: Kto cię stworzył?

Maciuś zerwał się i zaczerwienił, i wskazując na Wacusia, rzekł:

— Proszę księdza prefekta, to Wacusia stworzył, a mnie odkupił.

Wszystkich PP. Prenumeratorów i Czytelników prosimy o jednanie „Roli“ nowych prenumeratorów.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 19 grudnia b. r.

Pszenica	26·00—26 50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	20 00—20 50	Ziemniaki stoł.	6·00—6 50
Owies . .	21·00—21·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	20·00—20·50	Mąka żytnia	36·50—37·00
Fasola biała	45·00—47·00	Mąka pszen.	53·00—54·00
Groch zwyk.	30·00—35·00	Otręby pszen.	14·00—00·00
Siano słodk.	11·50—12·50	Otręby żytnie	13·00—00·00
Łubin żóły	25·50—26·50	Mąka czerw.	16·50—17·00
Koniczpastew.	15·00—16 00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 19 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·90 do 1·28 zł.	Jałownik	od 0 85 do 1·24 zł.
Woły . .	od 0·85 do 1·35 zł.	Cielęta .	od 1·90 do 1·98 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·15 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·62 do 2·05 zł.	Nierogaciznę lżejszej wagi	od 1·90 do 2.40